



KAPŁANKA ASTARTY



STANISŁAW JERZY
KOZŁOWSKI

KAPŁANKA ASTARTY

OKŁADKĘ WYKONAŁ AUTOR.

STANISŁAW JERZY KOZŁOWSKI

KAPŁANKA ASTARTY

NOWELE

INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI
FERDYNANDA HOESICKA
W A R S Z A W A — 1917



Gepprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung
Warschau den 22 1. 1917. T. № 4310. Dr. № 255.

Druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego w Warszawie.

1695
<http://rcin.org.pl>

SPIS RZECZY.

	Str.
Faraon i niewolnica	1
Ispheran	27
Kapłanka Astarty	55
Sardanapal.	81
Nabuchodonor	107
Kambizes	124
Heredis	149
Aleksander Wielki	159
Tyberjusz	181
Kaligula	189
Messalina.	199

FARAON I NIEWOLNICA.

Nowele.

1

I.

Na szczerolotyich lwach wspierał się tron Faraona, a on sam, Ramzes Wielki, znudzonym spojrzeniem ślizgał się po wiotkich kształtach niewolnic, które mu z najodleglejszych krajów w lennym darze przywieziono.

Było ich pięć, pięć młodych kobiet, o linjach przepysznych i zjawiskowej urodzie. Ciała, namaszczone wonnością, gięły się przepychem linji, a drzemał w nich trujący czar nieznaney, upojnej rozkoszy.

Czarni handlarze klęczeli, jak granitowe posągi, klęczały pięknoramienne dziewczyny i nudził się Ramzes Wielki na swym wyniosłym tronie.

Aż dał znak ręką i oddalił czarnych. Za nimi odeszły cztery ciche niewolnice i tylko została smukła, jak palma, chetycka dziewczyna, Nerita, której słońce nie zdołało spalić pachnącego ciała.

— Zbliż się — rzekł dobrotliwie Faraon, a mądra jego twarz przyozdobiła się uśmiechem. — Zbliż się i powiedz skąd jesteś, bo oczy twoje mówią, że niebo Karchemyszu w nich się przegłędało.

A gdy niewolnica milczała, mówił ponownie:

— Zbliż się. Jam łaskaw dziś. Twoje usta drżą, jakgdyby chciały o coś prosić. Mów...

Wówczas dziewczyna wstrząsnęła płaszczem swych łyskliwych włosów i rzekła wolno:

— Niewolnicą jestem, a żołnierze twoji memu ojcu wyłupili oczy. On już nie ogląda niewoli, gdy ja mam źrenice patrzące. Ja nienawidzę ciebie...

Faraon zdziwił się na swym tronie. Osypaną turkusami dłonią przesunął wolno po wyszyciu szaty, a później, wsparty wygodnie, jał się przypatrywać dziewczynie, jak człowiek, który nie dowierza oczom i uszom.

— Ty nienawidzisz... mnie? Nierozumna. Twoja śmiałość pošlę cię do Nilu. Niewolnica podniosła dumnie głowę.

— Panem jesteś tylko mojego życia,

a ja więcej kocham moją nienawiść do ciebie, niż życie. Zabierz je... Głodne są krokodyle w sadzawkach pałacu.

Faraon drgnął. Żadne żywe usta nie zraniły dotąd jego rozpieszczonych pochlebstwami uszów. Wstał... Wielkość Ramzesa poczęła się kulić wobec potęgi tej śmiałej mowy.

— Niewolnicą jesteś moja, którą każę jutro o świcie замуrować żywcem w lochu świątyni Amona. Czy lękasz się?

— Każ!! Dalekie słońce Chetów wstanie i spyta się ciebie o zbrodnię królewską. A ty sam zbledniesz, jak niewolnik, w obliczu wstydu.

— Tyś pan!... „pan czarnej i czerwonej ziemi“, syn Ozirysa, a ja proch u twojego sandała. Ale we mnie jest siła nienawiści do ciebie, którą nie owładniesz nigdy.

Faraon wydał pogardliwie usta. Przez chwilę zakłócony spokój napełnił teraz jego serce poczuciem wielkości. Ta szalona dziewczyna przestała w nim budzić gniew. Piękność chetytki, gdy w namiętnych słowach bluźniła majestatowi, podrażniła zmysły Ramzesa.

Zeszedł po stopniach wyniosłego tronu

i podbiegł do niej. Mądrość jego twarzy zasnęła żądza, a w oczach rozwidnił się niezdrowy ogień. Ale niewolnica uskokczyła w bok i, tuląc się do wielkiego filaru, jęła szeptać zdyszczanym głosem.

— Nie zbliżaj się do mnie!!! Nie zbliżaj!!! Patrz, oto pierścień, który zabija, jak piorun. Jeżeli postąpisz jeszcze krok, zgryzę truciznę w kamieniu... Nie zbliżaj się!!!

To powstrzymało Ramzesa. Stał w pół kroku. Żrenice dziewczyny paliły się stanowczością. Stalowe błyski miało ich harde spojrzenie.

— Szalona jesteś—syknął Faraon, marszcząc brwi. — Gdy oto łaskawością natchnęła mnie Izyda, ty bronisz się przedemną, jak przed niszczącym Sebakiem. Drażnisz swojego pana... niewolnico!!!

Stuknął pastorałem o ziemię, a gdy wbiegli dwaj uzbrojeni słudzy, rzucił wyniośle:

— Wtrącić do lochu nieposłuszną! Jutro sam położę pierwszy kamień, aby ją zamurować żywcem.

Ciężkie, potworne łapy spadły na plecy dziewczyny i wywleczono ją z komnaty.

II.

Płynął Faraon po Nilu w cedrowym żagłowcu, którego rozpięte skrzydła tkane były z kosztownego byssu, barwionego lazurem. Nad głową Ramzesa powiewał baldachim, w kształcie słońca, wiosłującym zaś niewolnikom włożono w usta pieśni na cześć Sezostrisa. Ramzes spoczywał wśród miękkich poduszek i myślał o Nericie.

— Jutro zamurują ją żywcem i umrze ta, co mi wyznała nienawiść. Czemuż nie mogę zapomnieć o niej i dlaczego niepokój kołuje nademną, jak sęp nad trupem? O Nerita!!! Ona pierwsza nie skłamała przed majestatem i usta jej nie skonały w lęku.

Czynił się zmierzch, łagodnym szafirem kładąc się po wodzie. Nil szumiał cicho i srebrzył żagłowiec Faraona perłami piany. Wysmukłe obeliski paliły się jeszcze w górze, jak wielkie, poświęcone Amonowi lampy, ale od dołu tonęły już wśród zmroków. Ramzes stanął u dziobu łodzi i zapatrzył się w przestrzeń.

„Syn Oziryasa“ zadrżał w obliczu prawdy. Dotąd zawsze padano przed nim na

twarz i układano hymny, sławiące potęgę „Syna słońca“. Każdy był jego cieniem, jego echem... Gdy go w wysokim, cedrowym krześle niesiono do świątyni Pta-ha, głowy schylały się, jak łan pszenicy, żęty wiatrem.

Raz, zalany winem, słuchając wrzasków katowanego niewolnika, spytał go, powstrzymując batóg oprawcy: „czem ja jestem dla ciebie?“ A dygocący z bólu człowiek zawołał w uniesieniu: „Światłem moich oczów jesteś, o „Horusie złocisty“ i razy jęły padać nanowo.

Gdy po wojnie obcinano prawe ręce jeńcom, Ramzes przywołał jednego z okaleczonych i zagadnął go, patrząc prosto w oczy: „Czy chciałbyś mieć obydwie ręce i nie widzieć mnie?..“ A na to jeńiec wyciągnął lewą, przez łaskę pozostawioną mu rękę i rzekł: „Weź i tę, o wielki królu, bylebyś słudze twemu pozwolił się u nóg położyć“.

Teraz dopiero przewidział Faraon. Usta tych ludzi kłamały, wobec straszliwego demona jego zemsty. Był potężny... Mógł ćwiartować na kawały tych, którzyby nie ugięli się przed nim. Perła jego świetlicy, lazurooka Arahwa, gdy mu ją na tar-

czy po wielkim podboju przyniesiono, choć przed godziną zakuta w łańcuchy, całowała jego białoskóre sandały i powtarzała słowa miłości. Ramzes wzdrygnął się. Więc to wszystko fałsz i obłuda?— Usta tych ludzi kłamały—powtarzał teraz z goryczą,—kłamia i kłamać będą, tylko ona jedna, Nerita, umiała mi rzucić w twarz prawdę i nie zgięła się przed Faraonem.

Nil szumiał cicho, a Ramzes, wsparty o dziób żaglowca, zapadał coraz bardziej w zadumę.—Kto jest ta śmiertelna, że jej strach nie odjął mowy?... Wiedziała, co czeka bluźnierców. Kto ona jest?... Zali ona jedna odcierpi za wszystkie pochlebstwa dworaków? Nerita, czarnowłosa, słaba dziewczyna, śmiałością swego wyznania płosząca spokój pana ziem egipskich... —

Gorycz rozlała się w jego rysach. Pieśń żeglarzy, zmieszana z pluskiem fal, sławiła imię Ramzesa. Zmarszczył brwi.—Niech zamilkną!!—rzucił gniewnie i kazał zawrócić ku pałacowi, gdzie chmura pochlebców czekała tylko, aby paść przed władczą na kolana.

III.

Faraon nie spał noc całą i z niepokojem oczekiwał świtu.

Gdy zabłysły pierwsze promienie słońca, przywdział biało-czerwoną tyarę i zeszedł do lochu, w którym zamknięto Nerię.

Niewolnica drgnęła na widok Ramzesa i utopiła w nim przepastne oczy.

— Wiesz, co cię czeka—rzekł Faraon—czy więc noc świadomości, która przeszła nad tobą, nie powróciła ci rozumu?

— Noc owa dała mi tylko siłę, bym nie zbladła w obliczu śmierci. Wiedziałam, że przyjdiesz do mnie. Gwiazda twoja przygasła wobec słońca prawdy.

— Zaiste. Nie lękasz się więc grobu pod ziemią?... Tyś młoda... Dalekie niebo Chetów pali się w twoich oczach. Czy chciałabyś wrócić do ojczyzny?...

— Wrócić... za cenę pokłonu przed katem mojego ojca.. Wrócić... splomieniona wstydem kłamanej pokory... Złą obrałeś drogę... ty, o którym mówią, że nie mylisz się nigdy.

Faraon przygryzł wargi. Niewolnica ugodziła w jego najczulszą strunę. Wiel-

ki król chełpił się nieraz, że jest znawcą duszy ludzkiej i, że przed jego wzrokiem nic się w tej duszy nie zatai.

Postanowił jednak użyć ostatniego sposobu.

— A gdybym ojcu twemu powrócił wolność? Gdybym darował ci twoją... prawdę i przebaczył?... Czy i wtedy nie miałabyś nic dla mnie, prócz nienawiści?..

Dziewczyna podniosła rękę do góry, jakgdyby składając przysięgę.

— Przez wydarte oczy mego rodzica, przez mękę naszej niewoli, klnę ci się, żeś serce moje przepęłnił wstrętem i wolej mi skonać w lochach z głodu, niż zgiąć się przed twoją potęgą!!!

Faraon oddalił się wolno. Zrozumiał... Był panem człowieka, lecz nie posiadał jego duszy.

Dnia tego zamurowano Neritę żywcem, ale twarz Ramzesa, gdy kładł pierwszą cegłę na te wrota grobowe, świeciła błądą zadumą.

IV.

Dwa razy słońce ozłociło kamienne oblicza sfinksów i dwie noce gwiazdziste przeminęły cicho nad Egiptem.

— Kto ona jest?... — myślał posepnie Faraon. — Czemu straciłem spokój od chwili, gdym ją ujrzał?... Czy żyje jeszcze?... pogrzebana w straszliwym podziemiu?...

Przywołał dworaków, czekających za kotarą jego rozkazu.

— Wina!!!

Spełnił Sezostris czarę złotawego plynu, ale znalazł na dnie tylko smutek i gorzycz.

— A wy—rzekł do otaczającej go ciżby zauszniczej — wy, którzy klęczycie przede mną, znacież-li prawdę jedyną i nieśmiertelną?...

— Znamy—odrzekli chórem.—Prawdą jest, żeś wielki, synu Setiego i, że bledną wszystkie potęgi wobec potomka Horusa.

— Pochlebcy—rzucił wzgardliwie Ramzes.—Za to was nienawidzę!!!

A dworacy, noszący tytuły wyszukane: „obydwa oczy“, lub „obydwa uszy“ Faraona, pochyłili oniemiałe głowy, boć przecie gniew „Światła Ozirisa“ skazał na śmierć Neritę, która plunęła w twarz jego słońcu.

I został sam Faraon na lwami podpartym tronie, aż szafirowy zmierzch spły-

nął do komnaty i otulił go mrocznym ramieniem.

— Nie mogę... Nie mogę, choćbym chciał. Muszę ją widzieć. Ona żyje... żyje i żyć będzie. O, najpiękniejsze usta, które nie splamiły się kłamstwem... O, oczy przepastne, którym strach nie odebrał blasku... Niewolnica, cudna chetycka dziewczyna... potężna swą wzgardą dla życia i wspaniała nienawiścią dla mnie.

Wyszedł Ramzes na krużganek pałacowy i, wsparty głową o piedestał kolosu, zapatrzył się przed siebie. Teby milczały w dole, osłonięte wzgórzami, srebrzące się wstęgą świętych wód Nilu. Olbrzymi chram Amona, rozłożony na tarasach, zamknął się płaskim murem od ziemskiej doczesności, a strzegły go niebosiężne obeliski i długi szereg sfinksów otwierał doń drogę. Miasto układało się do snu, las bukietów palmowych kołysał lekki wiatr. Faraon przyciskał rozpalone skronie i toczył najcięższą walkę z sobą.

— Nie mogę, nie mogę... Skazałem ją na śmierć za obrazę majestatu, a winie-
nem przystroić jej głowę pszentem*) mo-

*) Podwójna tyara królewska.

narszym. Ona jedna tylko... O, jakże cudną jest prawdomówność słabej dziewczyny. Czy znajdę gdzie większą skarbnicę szczerości, której nie strawi żaden płomień?... Nie mogę... To niekrólewska zbrodnia tępić śmiało spojrzenia poddanych...

Stał długo na zalanym światłem krużganku... Aż powziął jakiś zamiar. Okryty tajemnicą ciemnego płaszcza, z dwoma zaufanymi służalcami, udał się do świątyni Amona.

Szeroką aleją sfinksów sunęły trzy mroczne postacie, a przed nimi poły skiwał chłodno olbrzymi przybytek bóstwa, opiekuna Teb. Kolosy zmarłych władców wielkiej dynastji milczały na granitowych tronach. Potężne, strzelające w niebo pylony pełniły straż przy bramie, ponad którą świeciła uskrzydłona tarcza słoneczna.

Faraon minął przestronny dziedziniec i, niezapytywany przez nikogo, znalazł się w wielkim przedsionku, wspartym na dwunastu okrytych rzeźbami słupach. Tu dopiero słudzy arcykapłańscy (pastoforowie) zagadnęli go o cel przybycia, lecz poznawszy po tyarze „syna słońca“ padli

na kolana i z zasłoniętymi twarzami, jak nakazywał zwyczaj egipski, w milczeniu czekali, aż przejdzie. Ramzes zatrzymał się w hypostylu, który swymi rozmiarami przechodził wyobrażenie człowieka. 134 kolumny, ciągnąc się 16-ma rzędami, dźwigały z jednego głazu urobiony strop. Pośrodku biegł szereg filarów, wyższych ponad najokazalsze wieżyce, a tak potężnych, że 15-tu ludzi nie mogło objąć jednego. Ściany hypostylu okrywały cudnie barwione malowidła, powtarzające rytmiczne sceny z religijnego obchodu wielkiego Amona. Przebiegłszy szybko kolosalną salę, Ramzes udał się wprost do miejsca świętego (sekos), gdzie mieściła się arka i relikwie. Towarzyszący monarsze zauszniccy uderzyli głowami o mozaikę posadzki, nie śmiejąc odechnąć w obliczu bóstwa. Sinawy dym, unoszący się z 10-ciu złotych kadzielnic, pełzał nisko i przepajał mury odurzającą wonnością.

Na środku stał ołtarz, o kształcie wysmukłym, z lapis lazuli. Front jego zdobiły płaskorzeźby i wyryte hieroglify modlitwy. Dwa ofiarne stoły, wycięte w cedrze, ugiwały się pod ciężarem daniny

wiernych. Kwiecie lotosu mało to miejsce święte, gdzie nikt, prócz Faraona i arcykapłana, nie czuł się ostać godnym.

Ramzes złożył ofiarę Amonowi, rzuciwszy na ognisko różową gałązkę akacji. Poczem w pokłonie, cofnąwszy się do hypostylu, podniósł z kolan zauszniaków i bocznymi schodami zeszedł w podziemia, gdzie świeżo spojone głązy odgradzały Neritę od świata.

Biło serce Ramzesa pod ciemnym płaszczem, gdy rozkazał sługom rozwalić mur. Wolę jego spełniono bez słowa. Po chwili wielki wyłom stanął otworem i Faraon, z pochodnią w ręku, znalazł się w małej, kwadratowej sali.

Nerita drgnęła od blasku i spojrzała tępo w twarz monarchy.

— Przebacz mi—rzekł cicho Ramzes.— Przebacz... Uniósł mną gniew niesprawiedliwy. Jesteś wolna...

A gdy niewolnica nie zdała się jego słów zrozumieć, zbliżył się i mówił przez ściśnięte gardło:

— Jam w błędzie... Tyś pierwsza zdarła z oczów mych bielmo nieświadomości. To oni kłamią, oni,—cały kłękający przedemną dwór, to oni i... przebiegła mał-

żonka moja... Ale ja kocham Prawdę nienawiści twojej, a nienawidzę miłości tamtych, która się w świstach batogów poczęła... O Nerito!!! nie wiń mnie... Patrz, Faraon wyciąga do ciebie dłoń i od niewolnicy czeka przebaczenia.

Dziewczyna podniosła się z ziemi. Źrenice jej stały się jeszcze bardziej posępne, a twarz, błada chłodem marmuru, zamgliła się wielkim jakimś smutkiem. Skrzyżowała ręce na piersiach i zapytała cicho.

— Więc wracasz mi wolność?...

— Wolność... — szeptał gorąco Ramzes — więcej, niż wolność... Wszystkie skarby do nóg ci rzucę, będziesz, jak bogini, w cedrowem niesiona krześle... Dam ci pałace, ogrody, dam szaty pachnące i niewolników zastępy... Każę imię twe ryć na wszystkich posągach bałwochwaltwa, aby przerażało tych, których usta pochlebnie kłamią... Wolność... Ja sam idę w niewolę twej urody, bo Nerito... ja kocham ciebie...

Oczy dziewczyny zasnuła mgła. Wstrząsnął nią dreszcz przerażenia wobec słów faraonowych. Kara w lochach świątyni była dla niej tylko powolnem konaniem, łaska Ramzesa była konaniem bez końca...

— Kocham cię...—mówił namiętnie monarcha.—Kocham po raz pierwszy w życiu. Przez twoje oczy przewidziała ślepotą moja, przez słowa twoje uszy me otwarły się prawdzie. Ja wiem... że mnie nie nawidzisz... że nie odwoła się wyrok, jakiś wydała ty... niewolnica nad panem twoim. Ale postawię cię na szczycie i króluj w kamiennej obojętności dla mnie, gdy nic mi, prócz wzgardy, dać nie możesz...

Opamiętał się naraz Faraon, że zbyt dużo powiedział i że skrytą swą duszę przed niewolnicą napróżno otworzył. Ściągnął więc brwi i rzekł już spokojnie:

— Jesteś wolna.. U wrót świątyni oczekiwac będą słudzy moi, którzy się odtań niech i twoimi staną.

Spojrzał zadumą swych mądrych oczów prosto w twarz dziewczyny i oddalił się z podziemia.

V.

Nerita, z rozkazu Faraona, zamieszkała we wspaniałym pałacu, nad brzegiem Nilu. Udarowana łaską monarchy, która

zwolniła ją od głodowego zgonu, wpadła teraz w niewolę jego królewskiej miłości.

Gaj palmowy otaczał siedzibę pięknej faworyty. Najkosztowniejsze, rzadkie kwiaty sprowadzono z Persji, Medji, Baktrji i dalekich Indji, by Nerita codzień rano mogła w inną przystroić się girlandę. Ziemia Syrji dostarczyła miękkich, lazurowych tkanin, Scytyjskie posiadłości cennie szlifowanych klejnotów, w których mieniły się wszystkie barwy zorzy, słońca i księżyca. Pałac Nerity stał się podziwem całych Teb. Opowiadano cuda o przepychu jego wielkich marmurowych komnat, o tęczy malowideł ściennych, barwionych fenicką purpurą, wreszcie o szatach samej ulubienicy, których bogactwo przeszło wszelką fantazję hojności Ramzesa.

Ale złośliwi powtarzali także, że wszystkie owe dary piękna wybranka przyjęła z obojętną wzgardą. Nigdy uśmiech nie zagościł na jej posępnych ustach. Miała czarne, gwiazdziste źrenice, wiecznie zapatrzone w przestrzeń, a gdy schylały się przed nią karki niewolników, wówczas, jakgdyby rumieniec bólu i wstydu rozwidniał jej blade oblicze.

Zaraz drugiego poranku Faraon posłał jej djamentowy naszyjnik, który był chluba dworskich skarbów. Trefieni Nubijczycy nosili panią w cedrowem krześle, a młode dziewczęta z nad Orontu powiewały pękami pawich piór, by chłodzić ją od słońca. Imię Nerity rzeźbiono na piedestałach kolumn, i gdy raz gruchnęła wieść, że Ramzes wzniosł jej posąg bazaltowy w Ipsambulu, obok świątyni Horusa, zdumiały się umysły egipcjan wobec takich zaszczytów dla niewolnicy.

Pozór największego szczęścia otoczył smutną, czarnowłosą dziewczynę. Była panią Teb, a z nimi razem wszystkich nadnilowych posiadłości. Ale nie widziała tego. Pędziła dnie w samotni, gdzieś na najwyższych arkadach pałacu, skąd wzrok obejmował rozległe przestrzenie. Przybył kiedyś Faraon, poprzedzony ciżbą obładowanych darami sług i zastał ją w odwiecznej, milczącej zadumie.

— O, Nerito... — mówił, wyciągając ręce.
— Jakich dowodów miłości chcesz jeszcze ode mnie? Postawiłem cię u szczytu, na którym nie masz współzawodnic... Czy jeszcze nie nawidzisz mnie? Jestem że ci niemiły i żywisz-li jeszcze wstręt w sercu do tego, co ci karę darował?...

— Obojętnem mi jest życie... Zarówno mi loch, jak złota klatka. Jednakie są kajdany z żelaza, czy pereł. Nie znajdziesz we mnie nic, prócz chłodu rezygnacji. Jam sługa twoja, przez kaprys z ciemnic niewoli do niewoli zbytku wtłoczona.

— Nie mów tak... Sięgnij w głąb własnej duszy... Zali tam pustka i nicość? Tyś młoda... Nie wierzę, byś miała serce, jak kamień... Faraon chyli przed tobą głowę, a z nim razem cały lud Egiptu.

— Przekłęty bądź dniu, gdy czarni handlarze przywiedli mnie do twego tronu. Wolej mi było z ośleplym rodzicem pobłądzić na tułaczkę i nędzę. Ja nic ci dać nie mogę, władco, nic—prócz smutnych oczów, które się w stronę minionego szczęścia odwracają.

— A jakież było szczęście twoje?... Czy kochałaś kiedy?... Czy może być na świecie kto godnym miłości twej, dziewczyno?

— Blask tyary Faraonów nie zabije pamięci w człowieku... A ja pamiętam i nie zapomnę nigdy. Oddałam serce na wieki, zaś pięknym był wybraniec mój i dobrym, jak dobrymi są jasne duchy ojczyzny mojej.

Ramzes pobladł.. Nerita kochała innego. Zrozumiał.. i wraz runęły wszystkie jego nadzieje..

A niewolnica, zapatrzona w przestrzeń, mówiła, jakby sama do siebie.

— Pięknym był i dobrym i chodził ze mną po górskich urwiskach, gdzie zrywalimy dzikie kwiaty, rozkwitłe nad przepaścią. Mówił mi o bogach miłosiernych, panujących miastu Kadesz, o gwiazdach szczęśliwych, o wyzwoleniu z kajdan ucisku... mówił mi wybraniec mój... Ja mu oddałam serce, czyste i kochające, jemu jednemu tylko i do siwych włosów kochać go będę.. Odejdź ode mnie Faraonie, lub pozwól opuścić ten złocisty pałac.. Jam nie twoja.. Tyś pan jeno życia człowieka, a dla duszy nie masz pana na ziemi..

Ramzes odwrócił się, by ukryć bladeść wzruszenia. Zapadło się wszystko, co budował z taką głęboką wiarą. Myślał, że dobrocią i łaską zdobędzie serce Nerity. Ona kochała innego.. Powtórzyła się odwieczna tragedia. Nie było kobiety świata, któraby się oparła „synowi Ozi-rysa“ — jednej on tylko zapragnął, jedną, jedyną umiłował i odtrącała go wzgardli-

wie, jak niegdyś Izatra odtrąciła Senida.

— Jam nie twoja—powtórzyła dziewczyna. — Jeżeliś wielkim jest, jak mówią ludzie o tobie, zrozumiesz wszystko... Są drgnięcia serca, których nie utuli zapomnienie. Milsze mi skalne drożyny ojczystrych gór, niż rząd lazurowych komnat i złote skrzydła baldachimu niewoli.

Szli przez kwieciste tarasy ku cudnym ogrodom, gdzie, w gęstwie sykomory, białe olbrzymie, milczące posągi bóstw Egiptu. Niebo, wyłoczone gwiazdami, wisiało nad miastem, jak szafirowa wzorzysta zasłona. Wiosenna noc objęła Teby zmroką niezbadanych tajemnic.

Faraon zatrzymał się u brzegu czworokątnej sadzawki i zatrzymała się czarooka, smutna niewolnica.

— Patrz...—mówił,—to wszystko twoje, te ogrody, te gaje akacji, ten tłum posągów. Patrz...—szeptał coraz ciszej,—w pałacu twym nie płonie ani jedno światło wesela i milczą harfy, jakgdyby strunom zabrakło rytmicznego głosu. Czemu tak?... Dałem ci skarby, bogactwo, zaszczyty, dałem więcej... bom serce moje królewskie ofiarował... A ty zimna, jak głaz,

oczyma tęsknoty gonisz za innym... Cemu tak?... Powiedz... czemu?...

— Lud mój w kajdanach niewoli. Rodzic oślepty, potomek królów Kasyan, krwawe jamy ku niebu odwraca i woła: „Bogowie!!! czemuż nie oglądam okowów, by bardziej serce moje nienawiścią ku wrogowi hartować!“ A wybraniec mój... daleko... po skalnych drożynach sam dzikie kwiaty zrywa i, całując je, powtarza imię moje z boleścią. Mam więc zapalać ogniska wesela i cieszyć się w gronie tych grzesznych, pustych kobiet, któreś mi za towarzyszkę przysłał Faraonie?...

Ramzes ukrył twarz w dłoniach. Wielki znawca duszy ludzkiej widział jasno straszliwą zaporę, jaką między nim i Neritą losy rzuciły. Dziewczyna mówiła prawdę,—prawdę nieszczęścia swego, które na wieki złamało jej duszę.

Oddychał głęboko, jakgdyby pasował się z myślami. Czuł ukrop w mózgu, a jednocześnie dreszcz wstrząsał nim pod złotem wyszyciem monarszego płaszcza.

— A mimo twego chłodu, a mimo obojętności twojej... ja kocham ciebie... Za to, żeś nie ukryła nic przede mną, żeś ból najgorętszy przyniosła mi w zaufa-

niu, sama nie wiedząc o tem. Kocham cię... za czystość słów twoich, za pogardę dla życia, za milczący spokój wobec upiора śmierci...

I zawołał z jakąś wielką siłą:

— Przysięgnij mi, że nie będąc moja, nie będziesz niczyją!!! Przysięgnij na wydarte źrenice ojca twojego, na miłość dalekiego wybrańca, na niedolę współbraci i na wszystkich bogów egipskich i checyckich. A jeżeli mi żywe usta twoje tu, pod rozgwiażdżonem niebem, to przyobiecują, jeżeli zwiąże się sumienie twe z okropnem, niezłomnem zaklęciem, jakiego żądam, to słuchaj... ja... Faraon, pan twój i twego ludu pan... wyswobodzę was, Chetowie, z dybów niewoli i niech odtąd sławi się imię Ramzesa Wielkiego, który, dla smutnych oczów biednej niewolnicy, wrócił oddech zdeptanym pierśsiom jej rodaków...

A wówczas dziewczyna klękała u brzegu sadzawki i, podniósłszy do góry ręce ku srebrnemu miesiącowi, jak czynią ofiarujące się kapłanki, rzekła uroczyście.

— Przysięgam na mękę rodzica, na tęsknotę wybrańca, na niedolę ludu mego i na wielkiego Teszuba i Atarate!!!

Przysięgam wobec was bogowie, wobec
 ciebie księżycu i wobec ciebie Faraonie.
 I aby zakłęcie moje stało się niewzru-
 szonem, jak niewzruszoną jest jedyna,
 nieśmiertelna Prawda, niech spełnią się
 nade mną wyroki nieba, za cenę których
 naród mój wyjdzie z jarzma Egiptu, na
 wielkie święto Wolności!!!

Zerwała się z kłęzek i, z podniesio-
 nemi ekstetycznie ku niebu rękami, sko-
 czyła w chłodne fale sadzawki. Rozprys-
 ły się perły wód i wraz zakotłowało
 się coś w głębi, jak ukrop w żelaznym
 tyglu. Potworne cielska krokodyłów, któ-
 rych do cystern ogrodowych napuszczo-
 no dziesiątkami z Nilu, jęły się przewa-
 lać i kłębić; przez chwilę toczyła się
 straszliwa walka o łup; aż powoli wszyst-
 ko ucichło... łyskliwe zwierciadło sadzaw-
 ki zaczęło się wygładzać srebrzyście i nie-
 zadługo przejrzał się w niem spokojny,
 daleko gdzieś, wśród szafirów zawieszony,
 księżyc.

Twarcz Faraona była blada, jak śmier-
 telna chusta i świecił tak, grozą nieru-
 chomy, na martwym brzegu, jak jeden
 z wielu białych posągów, którymi przy-
 ozdobił ogrody swej ukochanej, o smut-
 nych oczach, Nerity...

ISPHERAN.

I.

Miękkim, kocim ruchem zsunęła się Ispheran z lazurowego łoża i, roztrzepotawszy ulewę czarnych, o mocnym, zwierzęcym zapachu, włosów, wyszła na słoneczny taras Hastinapury.

Prześlizgał się lekki powiew Vayu, odmuchując pył wonnoustym kwiatom, których niewysłowioną rozmaitość zbogacała djamentami rosa poranna. W trójkątnej sadzawce paliła się czerwień łuski złotych ryb i błękitniało niebo dalekie. Dziwne, długoszyje ptaki, upierzone różnokolorowo, a podobne raczej do skrzydlatych jaszczurek, unosiły się ciężko nad konarami drzew deva daru¹⁾. Olbrzymi, rozlewny wodospad rzucał się wspaniałym miotem z prostopadle urwanej skały, gdzieś w przepaść zamgloną. A z za złotawego pasma gór wyjeżdżał słoneczny wóz Savitri, radosnego bóstwa dnia, które jawę śniącym powraca i gwiazdom każe umierać.

¹⁾ „Dar boski“.

Ispheran wsparła się o trąbę kamiennego słonia i przycisnęła ręce do piersi.

Różany uśmiech słoneczny spłomienił jej fioletową szatę i ciepłem pocałunku obudził war krwi w gibkiem, młodocianem ciele. Nogi, wolne od pachnących sandałów, zadrżały lubieżnym dreszczem, łaskoczącym po krzyżu, jak muśnięcie warg kobiecych. Rozdęły się skrzydełka nozdrzy, rozprężył tors, a oczy przysłoniło na chwilę złudzenie niewyrażonej pieszczoty. Ispheran dotykała lekko piersi, rozfalowanych teraz i ciepłych, o różowych, niby owoce magwy, koniuszczkach.

— Gdzie Apsara? — zagadnęła nagle sama siebie i roześmiała się do tej myśli.

Po wyłożonych puszystą makatą schodach zeszła z kamiennego tarasu i zanurzyła się w bujnym rozkwiecie zieleni Pendżabu, skąpanej już deszczem słonecznym i ocienionej konarami wielokorzennych banyanów. Na jej widok długoszyje ptaki furknęły trwożne i, wzbiwszy się pod niebiosy, roztapiały się powoli w migotliwym powietrzu, jak płomień Agni wśród słońca.

Ispheran zerwała gałęź vadry, całą osy-

paną zrzałym, czerwonym owocem, poczem, stanawszy u brzegu trójkątnej sadzawki, w migotliwym jej zwierciadle jąła stroić hebanowłosą głowę.

— Gdzie Apsara? — spytała po raz drugi i znów przycisnęła rękoma gorący marmur piersi.

Lekką stopą, nie dotykając prawie ziemi, pobiegła przez długi szpaler dziwnych, fantastycznych drzew tekowych, o kształtach upiornych, przypominających skamieniałe ciała niewiadomych, przedpotopowych ludzi.

Tu, na zakręcie, przy ciężkiej, granitowej bramie, czarny jakiś olbrzymi cień skurczył się i przypadł bez głosu.

Niewolnik, pokorny Sudra, jeden z tysięcy sług kapryśnej Ispheran, który w łańcuchach strzegł wrot ogrodu, składał niemy, najpodleglejszy hołd córce Kszatria.

Nie raczyła nań spojrzeć, przesuwając się szybko, ze wstrętem, obok zgiętej postaci kolosa.

Tylko usta jej skrzywił niesmak. Ostra woń męskiego ciała, rozgrzanego w słońcu, dobiegła do jej nozdrzy, które rozduły się, wywołując zmarszczkę na czole.

Ispheran zadygotała całą istotą, jakgdyby przeszył ją dzirynt febry. Niepokój dłoni pobiegł ku piersiom, rozsadzonym gwałtownym oddechem. Pogarda i odraza sposepniła jej uśmiechnięte usta i spalizowała na chwilę ruchy.

Niewolnik leżał w prochu, z przytulonymi usty do śladu stóp królowej. Był pokornym psem, który pamięta jeszcze pręgi na grzbiecie. Jego olbrzymi, męzki kształt, wspaniały i rozrosły mógł podrażnić zmysły najkapryśniejszej kobiety. Wyglądał, jak stary, brązowy posąg Maruta w kwiecie wieku, którego... wieków tragedja zwała z wyniosłego piedestału.

Ispheran przystanąła na chwilę. Skrzydełka jej nozdrzy zaczęły drzeć gwałtownie i wciągać rzeźkie, ranne powietrze. Drapieżne palce, o ostrych, łyskających migdałach paznokci, skurczyły się, niby pazury tygrysicy, gdy w skoku nadepnie śliskiego gada, wypełzłego z zadżumionego jeziora. Kark znieruchomił prawie fizyczny wstręt, chwytający lepka, ohydłą rękę za gardło.

Niewolnik leżał bez ruchu, z kajdanami u rąk i nóg...

Ispheran roześmiała się wyniośle. Chciała go kopnąć w ogoloną na znak bezwoli głowę, ale był to tylko odruch. Wstrząsnęła płaszczem ciężkich, hebanowych włosów i beztrośnie poszła dalej...

Z prostopadle urwanej góry bił ogromny wodospad. Błękitnawe potoki spadały przeciągłym rykiem w czarną otchłań. Część skały, złupana oskardami czasu na olbrzymie kawałce, leżała u podnóża. Beład pian opryskiwał nadbrzeżne rośliny, o szerokich, wachlarzowatych liściach. Powietrze przecinał ostry świst... Tu i owdzie, wśród spękanych szczelin, zieleniły się niespokojne głowy jaszczurek. Słońce stało wysoko, jak żrenica czuwającego Puszana. Ispheran usiadła na złomie skały i zwolniła piersi ze złota siatki. Wytrysły... Dwie cudne, kragłe, pachnące piersi. Dotknęła palcami ich wzniesień, gdzie czerwienią się i gdzie wzbierają. Ogarnęła ją młoda beztroska. Jakaś swywola... Bose nogi, z nietajoną rozkoszą zanurzyła w wodzie, która była zimna i ostra. Ispheran zanurzyła się. Na jej głowie i nagim karku słońce położyło swoje skwarne dłonie. Dłonie te

zaczęły przebierać po jej ciele gorącymi, suchymi palcami. Zdawały się parzyć przy każdym dotknięciu i zostawiać piekące ślady.

Zerwała fioletową gazę. Ciężkie, miedziane napierśniki, okryte sprośnościami Radzagrihi, upadły z brzękiem wśród skał. Teraz słońce zobaczyło nagość Ispheran i zobaczył tę nagość wodospad. Poczęła się walka Żaru i Chłodu... Walka żywiołów. Beżład pian, rozprysnął się o łeb wielkiego kamienia i oblał wyzwołone z szat ciało.

Ispheran skoczyła pod wodospad. Trzymając się oburącz wystającego urwiska, podała plecy straszliwej nawale wód... Ich ciężar zgiął ją nieco i otoczył na chwilę srebrnym, nieprzeniknionym tumanem.

Wyskoczyła na gorący brzeg. Była cała mokra, cała rozśmiana. Poczęła płasnąć i nucić swywolne pieśni. Zmęczenie niezdrowej nocy pierzchło, jak pierzcha groza Yamy przed Uszas. Krew rozgrzała się w prężnym ciele i zaczerwieniła policzki.

Nagle... królowa zadrżała... Poczuła czyjś wzrok. Na nagim ciele czyjeś pa-

łające oczy, których ciekawość prawie dotykała. Oczy, przeświecające przez małą szparę w gęstwie.

Czarny Sudra wdrapał się na granitową bramę i, rozciągnąwszy jaknajbardziej bezwolę łańcucha... patrzył.

Przeżuwając trujące owoce nieziszczonej żądzy, z ukrycia podglądał nagość swej pani...

Ona znieruchomiła na chwilę, zda się kamieniejąca pod jego oczyma. Zastygła w pół płasu, z podaną naprzód piersią. Ale wraz wróciła świadomość. Nieopisana odraza zatrzęsła nią, jak febra. Odraza, targnięta prawie fizycznym bólem wstydu i przerażenia. Odraza niekobieca, splomieniona zachwytem samca...

— Nieszczęsny... ty śmiałeś!!

Szybkim, nieprzytomnym ruchem zarzuciła na siebie obłoczną tkaninę, kryjąc się w jej fałdach z lękiem.

— Nieszczęsny!!! Ty śmiałeś znieważyć spojrzeniem królowę!!! Moją nagość, nieoglądaną nigdy oczami mężczyzny... ukradłeś podstępnie!!! Mój wstyd dziewiczy i moją nieświadomość... nieszczęsny!!!

Obok zaczajonego wśród krzaków nie-

wolnika leżał bicz. Straszliwy, czterokończasty batóg, służący mu do pisania na karkach natrętów odwiecznej odpowiedzi córki Brihadraty.

IspHERan porwała ten bicz i burza gniewu zapaliła jej oczy. Rozległ się dziki chichot i wraz z nim nie ludzki jęk ludzkiego bólu. Zatoczywszy jaskółcze koło, po raz drugi spadł straszny batóg i po raz drugi zafurkotał śmiech, rozerwany jękiem. Za trzecim udarem pękły czarne plecy i fontanna krwi chlusnęła na piasek. Ale krew rozogniła tylko IspHERan. Siły jej poczęły rosnać, wzmacniać się... miękkie, kobiece ręce, nieznoszące gwałtowniejszych pocałunków, rozmachały się w ciężkim wysiłku. Posoka tryskała coraz wyżej... teraz już całe plecy czarnego zmieniły się w jeden okropny kawał surowego mięsa, z którego bicz wyrывał coraz-to świeższe, potworne szmaty. Katorwany wył, jak zwierz, darł piasek i szarpał łańcuchy. Była chwila, że stracił pokorę i usiłował wyrwać bicz z rąk IspHERan, lecz dostał w tej chwili straszne cięcie przez twarz, które zalało mu krwią oczy i nowym rykiem napełniło słoneczny zakątek ogrodu. A IspHERan

oszalała poprostu. Gdy włosy zaczęły jej przeszkadzać, skręciła je szybko w węzeł i, niepomna niczego, z wywróconemi białkami oczów, świsnęła batogiem ponownie, jak dotknięta opętaniem kapłanka z Benaresu, która pastwi się nad łachmanem ludzkiego ciała.

Krew katowanego obryzgała jej szatę czerwoną, lepłą mazią, przyrzuciwszy królewskim rubinom jeszcze nieco kosztownej czerwieni. Niewolnik zcichł i zniechęcił się. Jego mięso, przestające już być ujętym kształtem, leżało na żółtym piasku. Nie żył... Ale ona smagała trupa z jakąś okropną zaciekłością... Smagała, póki bezsilność nie wydarła z jej rąk poszarpanego o kości bicia.

Zatoczyła się na krzewy. Ciekła z niej krew, krew miała na twarzy, ustach, krew w oczach i mózgu. Włosy jej lepiły się od potu i znów rozsypały się czarną ulewą. Nieprawdopodobny wysiłek zdławił krtań i gniótł piersi. Teraz dopiero spostrzegła, że jej furja miała widzów. Straszny zakątek ogrodu otoczyły wylękle niewolnice, przywołane niewiadomym krzykiem. Dała z siebie widowisko... sługom.

Uśmiech sztucznej beztroski powrócił na wargi Ispheran. Spojrzała dumnie i chłodno, ze wzdrganą i szyderstwem. Podrażniły ją blade twarze służebnic. Zbiegły się brwi... Na ustach zatrzepotał się straszny, przemyślny rozkaz, powstały w imię przekory i kaprysu. Rozkaz potworny, rozkaz... płasów nad mięsem ludzkim. Uczcie zemsty Ispheran brakowało ostatniego dania.

Pokorne i uległe rozwinęły się niewolnice w szerokie, taneczne koło i opierścieniły niem krwawego trupa. Niewidzialna muzyka spłynęła cicho, jak poszum aloesów w dolinie Kaszmiru. A w dali huczał błękitnawy wodospad i, jak dawniej, milczały tekowe drzewa, do narodu skamieniałych pra-ludzi podobne.

Taniec zatrzepotał się w słońcu. Taniec miłości i śmierci. Nad podartym łachem ludzkiego mięsa. Wiotkonogie dziewczyny ujęły się za ręce i podały twarze ku słońcu. A w twarzach tych marł... przymus uśmiechu. Straszny przymus uśmiechu, co się ze zgrozy urodził.

Rozfalowały się ich krągłe piersi, zamknięte w szczerozłotych kołach. Ciężkie zausznice dzwoniły przy każdym pod-

skoku. Nagie, muskularne brzuchy zaczęły się prężyć i wyginać; strzeliste nogi ledwie ślady koniuszczków zostawiały na gorącym piasku. Poszedł tan... Zmysłowa pantomina, imitująca rozkosz bogiń. Wszystko, co zawiera ekstaza, wszystkie najtajniejsze całunki i rafinowane zwyrodnienia miały swój wyraz w linii i ruchu. Płás opisywał jakiś religijny obrządek na Wyspie Miłości, gdzie żyją same kobiety. Był grzeszny i bezwstydnny. Ispheran wsparła się o czerwoną skałę i przyciskała wzbierające piersi.

Tancerki rozwinęły się w trójkąt i podniosły ręce do góry. Później schyliły trefione głowy, aż długie ich włosy rozsypały się po skwarnej ziemi i ukłękły. Ciała ich, bardziej od nagości rozpustne i od wiosny pachnące, przyłgnęły wzajem do siebie w najwyszukańszem upojeniu. Żrenice zamglił błachman rozkoszy, żrenice, w których niedostygła jeszcze zgroza...

Poszarpany trup leżał bez ruchu, a wokoło zastygły ciemne jeziorka krwi. Młoda, czarnooka dziewczyna rozepchnęła nagle towarzyszkę i wybiegła przed taneczny

trójkąt. Nieprzytomny uśmiech rzuciła pod stopy królowej i zaczęła sama pisać nad trupem. Namiętne jej ruchy, sprężnie wygięte biodra i rozszalałe tańcem stopy, jej gwiazdziste źrenice, miotające skry szaleństwa, jej uśmiech rozwieżły i dziki, jakgdyby pijany użyciem i urągający martwym zwłokom, zamknęły się w upiorny obraz i cudny zarazem, jaki tylko można ujrzeć przed śmiercią w cieniu trujących kwiatów. Aż oto tancerka zerwała z kędzierzawej głowy srebrem dzierzganą chustę i, owiawszy twarz jej mgłą, jęła się kręcić na jednym miejscu w kółko, podobnie, jak czynią czarodzieje (guru), zapadający w stan nieżycia. Trwało tak długo... długo, że zdawało się nieskończyć nigdy... postać dziewczyny, podobna zdaleka wielkiemu kwiatowi, coraz bardziej zacierała się w konturach, aż nagle trysnął jej przeciągły, ostry śmiech,... zatrzymała się na miejscu, schyliła nad trupem i, umaczawszy chustę w kałuży krwi, podniosła ją tryumfalnie do góry.

Ispheran rzuciła jej djamentowy naramiennik i zawołała radośnie:

— Tańczyłaś dla mnie, Apsaro. Dla

królowej swojej, bez przymusu już i bez rozkazu... Czarnowłosa... Zostawiam cię odtąd przy mojej świetlicy, gdy zorze pozgarnia Uttara-Kura. Apsaro...—mówiła dziwnym, miękkim głosem—Apsaro...

Ale ujrzawszy krew na swych szatach i ciele, zmarszczyła brwi i rzekła chłodno do niewolnic:

— Chcę się wykapać. Zanieście mnie nad sadzawkę i niech drżą te, którym jaśniejszych spojrzeń nie powrócą dobre Dewas¹⁾ pod przymknięte powieki.

Pokorne i niepewne służebnice położyły Ispheran na lazurowem posłaniu i poniosły przez cienisty szpaler. U brzegu trójkątnej sadzawki klękły wszystkie i, przycisnąwszy usta do żółtego piasku, czekały w cichości, aż królowa wstąpi do wody.

Ispheran przeciągnęła się leniwie i, nie otwierając oczów, zrzuciła poplamioną szatę.

— Czemu wam smutek pokurczył ry-
sy?... — pytała mimowoli niewolnic, plus-
kając się w łyskliwym opalu wody. —
Czego przycichłyście moje wy, gazelle?...
Jam szczęśliwa. Chcę widzieć wasze
uśmiechy... Gdzie Apsara?...

¹⁾ Dobre duchy.

Ispheran wyszła z wody i usiadła na zielonawym kamieniu wybrzeża. Chłodna pieszczota fal znów zaostrzyła jej zmysły. Jak dawniej słoneczny Surya przybrał ją w złotą szatę i położył na włosach ukrop skwarnych dłoni.

— Pójdź do mnie, Apsaro...—szepnęła Ispheran, jakgdyby przez sen. — Patrz, jestem cała mokra, a gdy osuszy mnie słońce, ciało moje przestanie mieć połysk jedwabiu. Ja kocham moje ciało złotawe i gorące. Czy ty masz takie, jak ja ciało... i ruchy, i takie niespokojne ręce, gdy dotykają koniuszczków piersi, lub rozkwitłym aloesom biorą zapach? Apsaro, słońce wypija krople wody z moich pleców i łaskoce po krzyżu, jak czyjeś spieczone usta.

Ukryła twarz w dłoniach i ciągnęła pieściwie.

— Apsaro... Gdy księżycowe oko Waruny spojrzy z nad Himalajów, czy twoje ręce są spokojne? Może splatasz je nad głową i usypiasz? Może całujesz kochanka — męskie wargi, wezbrane głodem żądzę?... Powiedz, czy, gdy dotkniesz stopą nieżywego tygrysa, jest-li w tobie dreszcz i ogień?... Ogień nieświadomości,

ten pierwszy ogień, który już nie wygasa. Wtedy pewnie czerwienią się twoje usta, a końce palców błędzą po ciepłym marmurze bioder. Powiedz?...

Apsara patrzyła na nią z pod przymkniętych powiek, a oczy jej świeciły, jak gwiazdy, przez lekki obłok. Miała milczący płomień w spojrzeniu. Ześlizgnęła się z kolan wielkiego posągu Indry, na którym siedziała dotąd i, ująwszy wspinały zwój sięgających aż do stóp włosów, poczęła tą wonną, czarną tkaniną wycierać mokre ciało Ispheran. Włosy łaskotały podrażnioną królowę, która śmiejąc się chciała uciekać. Ale była w tem jakaś wielka, tajemnicza rozkosz.

II.

Cicha melodja niewidzialnej muzyki roztopiła się w szafirowym zmroku. Przez obłoczną, gwiazdzistą kotarę przeświecała starożytna poświęcana lampa z Waranazi, o formie podobnej do najwstydlivszego wdzięku kobiety. Od pułapu zwieszały się długie sznury paciorków, a na każdym wyryty był jakiś wyjątek z Księ-

gi Wedy. Kamienny Brama milczał na agatowym tronie i przysłuchiwał się oddalonej muzyce.

Ispheran, spowita lekkim, drażniącym woalem, leżała wśród białych kwiatów. Była samotna i wyczekujące oczy zawiesiła gdzieś u stropu. Ciężkie napierśniki, wykładane kosztownym szyldkretem, rozluźniła nieco i miękkimi dłońmi poszła do nabrzmiałych piersi.

— Gdzie Apsara?

Zmrok czynił się coraz bardziej szafirowy i zaczął roztapiać się w złotawym migocie lampy. Dziwna, zmysłowa melodja szemrała już tylko, jak skrzydła wielkich tybetańskich motyli. Przelewał się w niej cichy szept niewiadomej, upojnej pieśnicy.

Naraz twarz królowej spłomienił ciemny rumieniec, rumieniec przecucia, czy radości. Niespokojnie zatrzepotały się pachnące aloesem dłonie i przegiał się wiotki kształt pod obłokiem woalu. U wchodu do kwiecistej świetlicy stanęła Apsara.

— Jesteś?... Przychodzisz tak późno... Czy to już północ?...

— Uszas zebrała już wszystkie „czer-

wone krowy“¹⁾ z nieba, ale księżyc nie przeszedł jeszcze pagórka Vindhya. Nad Magadhą dopiero gwiazdy.

— Czekałam ciebie. Popraw ogień w lampie i nie odsłaniaj kotary. Światło łaskoce pod powieki i miesza myśli... Pamiętasz dzisiejszą kąpiel?... Twoje włosy pieściły mnie, jak promienie słońca... Jeszcze dotąd czuję ich gorącą miękkość.

Wciągnęła głęboko powietrze i mówiła powoli:

— Pachną twoje włosy. Są ciężkie i puszyste. Powinnaś wyzbyć się szala i ubierać się tylko we włosy. One sięgają do ziemi, jak płaszcz.

Uniosła się sennie na kwiecistym łożu i powstała. Gdy drobne jej stopy musnęły skórę tygrysią, przejął ją dziwny dreszcz.

— Apsaro, zdejmij sandały i stań tu, tak, jak ja. To jakaś wielka rozkosz dotykanie bosem piętami łaskoczących kudłów. Wtedy płomień idzie po nogach i rozlewa się w całym ciele. Czujesz, jakdyby gorące języki ognia, które liżą cię niewidzialnie.

Dziewczyna zbliżyła się do królowej

¹⁾ Zorze.

i posłuszna jej woli, szybkim ruchem zdjęła purpurowe sandałki.

— Stań tu, blisko mnie, a gdybyś nie mogła znieść tej rozkoszy, jak ja—twoich drażniących włosów na ciele—powiedz. Jest jakaś potężna siła w dreszczu, którego nie umiem nazwać, ale kocham ten dreszcz i ty go będziesz kochać...

Ispheran przymknęła oczy i zagryzła usta.

— Gorąco mi... Czy tobie gorąco Apsaro w nocy?

Niewolnica ujęła jej ręce w kostkach i zadrżała. Była blada, ale pod tą bladością prześlizgał się płomień. Drobne, bose nogi wyprężyły się, jak struny i dygotały. Posągowy tors, zamknięty złotem napierśników, unosił się szybko. Rozcięta u boku szata odsłoniła cudną linię nągich, falujących bioder.

Ispheran nie otworzyła oczów i pociągnęła ją bezwiednie ku sobie.

— Gorąco mi... Puść moje ręce i nie ściskaj tak silnie... Boli... Apsaro...

Wstała. Usta jej rozchyliły się lekko. Podeszła do kamiennego posągu Bramy, który wielkimi źrenicami spoglądał

gdzieś, w przestrzeń i zapytała, jakdyby sama siebie:

— Czy bogowie mają płęć?... Czy na na górze Meru są mężczyźni i kobiety? Dlaczego te oczy patrzą... jakieś czuwające i groźne?... Zdają się widzieć wszystko i przestrzegać... Apsaro!!!

Dziewczyna przysunęła się do niej i schyliła głowę.

— Apsaro... trzeba mi do łóżnicy. Zdejm szatę z moich ramion i te ciężkie, złote koła, rozpalone od ciepła piersi.

Odwróciła od niej różową twarz, spłomienioną wstydem.

— Nie patrz się tak na mnie, nie mogę znieść twoich spojrzeń. Jesteś dzisiaj jakaś gorąca... żar idzie od ciebie. Żar pomieszany z wonnościami, które mnie usypiają... Apsaro...

Niewolnica poczęła rozbierać królowę, ociągając się jakoś, jakgdyby w półśnie, niepewne jej ręce wolno rozluźniały szeroką, złotą obręcz na ramieniu, rozluźniały nie odrazu, trwożnie, zda się świadomie, że za ostatniem odpięciem dżamentowej sprzączki, obłoczna szata zsunie się do nóg pani i Ispheran stanie zupełnie naga. Był w tem jakiś dziwny roz-

koszny lęk, lęk w przeczuciu, lęk, który się urodził nagle, nieznany lęk przed... obnażeniem królowej, widzianej tak często bez szat w kąpielu, jak dziś, o słonecznym poranku. Aż ręce Apsary odskoczyły od ramion Ispheran i szata spłynęła... Królowa zadrżała i, nie odwracając twarzy, mówiła gwałtownie:

— Odejdź, ukryj się!!! Twoje spojrzenie pali... Czuję dwoje oczów... dwa płomienie. Czemu się tak przyglądasz... jak-gdybyś chciała moją nagość jeszcze... obnażyć? Apsaro... Mnie wstyd, przed twoją ciekawością wstyd...

Niewolnica nie usłuchała rozkazu i przypadła do jej nóg.

— Nie oddalaj mnie pani... — zadrżał jej spazmatyczny szept.

— Zamknij oczy, lub zasłoń je szalem. Nie możesz tak patrzeć... Jam dziewczyna, a ty, jak kochanek, który się zakradł o północy. Chcesz czegoś ode mnie i boję się zapytać czego... Masz myśli czerwone, jak krew. Myśli te fruują nade mną, podobne skrzydlatym płomieniom. Nie obnażaj mnie tak spojrzeniem obnażonej.

Była bliska płaczu i śmiechu, zalekła i jakaś rozciekawiona,—szkarłatny rumie-

niec mienił się w matową bladość, zimny dreszcz przeszywał ukrop krwi... oczy jej łowiły trwoźnie wzrok Apsary, zatrzymywały go, proszące i nieraz jakgdyby groźne, ale dziwnie niecierpliwe, niepewne, rozwidnione prawie dziecięcą ciekawością. Odsunęła się lekko od niewolnicy, której ciało parzyło zdaleka i przyklękła na wzorzystej makacie. Jakaś nagła myśl urodziła się w jej głowie, bo zawołała prawie rozpacznie:

— Idź!!!

Niewolnica skrzyżowała ramiona i nie drgnęła.

— Idź!!! Apsaro, rozkazuję ci...

— Idź!!.—krzyknęła załamując ręce.—
Samowolna!!! Każę cię jutro zakopać w ogrodzie!!!

Dziewczyna wydeła dumnie usta i spojrzała wyzywająco.

--- Każ!!!

Ispheran podślizgnęła się do niej, jak giętka pantera. Niespokojne jej palce chwyciły Apsarę za ramiona, topiąc w nich ostrza paznogi. Piekący ból skurczył rysy niewolnicy, ale nie odjął im przekory.

— Każ mnie jutro zakopać żywcem, jak psa...

— Ja się ciebie boję... Apsaro... Co tobie? Czy chcesz mnie wzburzyć? Dlaczego na twoich wargach trzepece się niepokój?... A możesz ciekawa dotknąć mojej twarzy?... Dotknij lekko policzków... są ciepłe i różowe... Dotknij lekko i odejmij zaraz ręce... Apsaro...

Oparła się o jej ramię i głowę ukryła w dłoniach. Gorące ciało niewolnicy sparzyło ją przez cienki, chiński jedwab. Jakdyby rozpalone żelazo, przytknięte do skóry.

— Spalisz mnie... Tak gorąco... Noc upalna położyła się u wrót. Apsaro, odwróć się, a ty zdejm szaty. Rozpuścisz później włosy, które są do ziemi, jak ciężki, nieprzenikniony płaszcz.

Rozpięła szybko perłę, podtrzymującą luźną, oranżową szatę niewolnicy i lęklawie uniosła wzrok.

— Czyś już naga Apsaro?... Powiedz... Dlaczego milczysz, jak posąg?... Możesz ty umarła w płomieniu?...

Odchyliła głowę półobrotem i zawołała z dziecinną radością:

— Włosy rozpuściłaś... włosy pachną-

ce. Twoje ciężkie, ogromne kędziory. Spójrz... czy teraz boisz się mnie?... — taka opłynięta fałdami czarnego płaszcza. Nikt nie widzi twojego ciała i ja nie widzę.

Ujęła ją za ręce i podniosła do góry, a wówczas płaszcz rozsunął się lekko i naga, cudna niewolnica zajaśniała, jak wiosenny kwiat.

Dwie wyzwolone z szat kobiety zawisły ciekawością oczów na sobie.

Patrzyły długo, długo... pijąc wzajemnie wstyd i wzajemną, niewypowiedzianą radość. Był w tem jakiś ogromny, grzeszny urok, który upalna noc okryła tajemnicą czarnych skrzydeł. Palce splotły się z sobą, a dłonie drżały, jak drżą różowe płomyki.

— Apsaro, boli, nie ściskaj tak rąk... O, bo ja cię będę całować i prosić, jak dziecko będę prosić... Puść, Apsaro...

Przeięła się w tył, aż kształt jej dotknął mimowolnie gorących bioder niewolnicy.

— Całować mnie będziesz i pieścić...— mówiła cicho, a usta jej zbliżyły się nagle do warg Apsary, zatrzymały się na chwilę i lękliwie, niepewnie wzięły nagły pocałunek.

— Puść mnie, puść... Opamiętaj się. Nie mogę tak... Jam dziewczica i Brama patrzy z kamiennego tronu. Noc parna i grzeszna kusi, jak występpek. Oczy posągu mrugają na mnie... szydercze.

Zarzuciła ramiona na szyję dziewczyny i tuliła się do niej z lękiem.

— Nie powiesz nikomu, ani gwiazdom, ani Braminom. Nie powiesz, żeś całowała córę Radżariszi... Jam dziewczica i nieślubna tobie kochanka. Usta ci moje oddaję... W pomieszczeniu i... ze wstydu. Bo szła od ciebie żądza. Apsaro... Upajają twoje wargi, jak Amrita.

Porwała je całunkiem i przymknęła oczy.

Sprężne jej ciało przeszył dreszcz. Powoje ramion oplotły smukłe kształty, a pierś falowała gwałtownie. Poświęcona lampa gasła powoli, sącząc przez gwiazdzistą kotarę złotawy pył. Kamienny Brama milczał na wyniosłym tronie i zdawał się uśmiechać drwiąco.

Niewolnica przypadła do królowej. Wargi jej poczęły drżeć, głodne pieszczoty, rozchylone namiętnością, młode wargi, pod którymi łyśkały białe, jak

kość słoniowa, zęby. Wargi te chwyciły nagle pęk piersi Ispheran i nabrzmiały krwią.

Stał się dziw... Burza całunków rozszalała. Burza, która zbiera długo. Ispheran nie mogła się już bronić. Jakgdyby ostatnim odruchem zarzuciła sobie włosy na twarz i stała się drętwa, kamienna. I wraz ogarnęło ją szaleństwo... Sprężył się grzbiet, wydęły piersi. Skurczone palce wpiły się w kark Apsary, przyciskając ciemną, pochyloną głowę. W jakiejś okropnej męce rozkoszy, w jakimś szaleństwie zmysłów, którego nie masz za ziemi.

Nagle... Apsara szarpnęła się gwałtownie. Spojrzenie miała błędną. Nieopisany wstręt wyobrazil się w jej twarzy nagłym skurczem... wstręt świadomości... wobec rozszalałej Ispheran. Zemsta pogwałconej płci wstała w grozie. Myśl niewolnicy uciekła z kwiecistej sypialni i sfrunęła nad ogród... Nad kwiecisty zakątek, gdzie leżał trup... Poszarpany trup mężczyzny, z niedogasłym przekleństwem na czerniałych wargach.

Trysnął nieprzytomny krzyk... Zwalana posoką chusta zakręciła się nagle

w ręku niewolnicy, jak upiorny kwiat śmierci. Apsara przypadła znów do królowej. Błyskawicznym ruchem okręciła tę przeraźliwą chustę koło szyi Ispheran i, chwyciwszy za dwa końce, poczęła ją zaciskać w jakimś okropnem zapamiętaniu...

KAPŁANKA ASTARTY.

Pani Zofji Godfrydowej.

I.

Na skalistych wyspach stał Tyr — warowny gród Fenicji. Błękitne morze opierścieniło go niedostępnym ramieniem — że nie lękał się groźnego sąsiada. Wysokie, obronne mury strzegły spokoju mieszkańców, a panował im mądry król Hiram, przez samego Melkarta namaszczon i przez radę patryarchów na tron powołany.

Szczęśliwie żyli Fenicjanie w swoim bogatym mieście. Ich ostrodziobe żaglowce zwoziły skarby z całego świata, które na największym placu rozdzielano, aby później w Niniwie, lub Babilonie miejscowej ludności odprzedać. Bezcenne indyjskie perły, kość słoniową, arabskie olejki i egipski papyrus wymieniali na tkaniny perskie, chaldejskie świeczniki i piasek złoty Ofiru. A czerwone mieszki, które nosili pod płaszczami, pęczniały coraz bardziej i niejedyn drobny handlarz dorobił się już własnego pałacu,

wśród cedrów libańskich, dokąd odfrunął czasem dla wypoczynku.

Zaś największe korzyści ciągnęli z wypraw po brzegach Oceanu, gdzie dzikie, nieoświecone ludy, osiadłe w bliskości skał Kalpe, nad rzeką Anas, chętnie oddawały bryły srebra, miedzi i cyny za gliniany garnek, lekkim pokryty deseniem. Sami zaś Fenicjanie wyrabiali szkło, zapożyczwszy tej sztuki od Egiptu, rzeźbili misternie w bronzie i zasłynęli, jako odkrywcy cennej purpury, która odtąd barwiła płaszcze wszystkich królów świata.

Bogactwo więc kwitło w Tyrze, a rządy mądrego Hirama podnosiły jego rozgłos i sławę. Baal-Melkart ukochał niedostępne skały tyryjskie i zsyłał na mieszkańców wszystkie dobrodziejstwa, jakimi słyneła jego łaska.

Ale młode Fenicjanki największą cześć oddawały Astartcie—bogini księżyca i jej to poświęciły swą młodość i dziewictwo. Gdy król, zdobiąc miasto, połączył je z wyspą, na której stała świątynia Baal-Szamaim i nadto wznosił słup złoty, (symbol wiary semitów)—otoczyły pałac królewski dziewice Tyru i zażądały ofiar dla Astarty. Hiram przychylił się do ich

prósb. Odtąd przybytek bogini świecił szczodrością króla i z każdym dniem malał betyl święty, którego meteorytyczne próchno unosiły całujące wargi Fenicjanek.

Co trzydziestą noc świątynia Astarty rozwidniała się wielkim blaskiem. Olbrzymie wieżycy przed bramą przystrajano kwiatami i płonęły mistyczne ognie, złotych poświęconych świeczników. Kapłanki bogini, wybrane zśród najpiękniejszych dziewic Tyru i ich przodowniczka, gwiazdooka Tezoris, obnażały wówczas namaszczone ciała i święte misterjum trwało przez całą noc, dopóki srebrnorożni miesiąc nie ukrył się za górami Libanu.

Posąg Astarty, wycięty z lapis lazuli, stał na wzniesieniu, obwieszonym girlandą róż cypryjskich, głowa, przyozdobiona księżycem, nadawała bóstwu tajemniczą, astralną moc. Szata w miękkich, spokojnych liniach szła ku ziemi—w lewym ręku bogini niosła gołębia, prawa, opuszczona w dół, zwisała lekko. U stóp posągu złożono ofiarę — pasmo włosów dziewic, przewiązane złotymi wstęgami.

Kapłanki klęczały w dziewięciu szere-

gach z wyciągniętymi ku Astarcie rękoma. Ich twarze, natchnione modlitwą, miały się różowo wśród ogni świeczników. Ich nagość cudnie odbijała od purpurowego kobierca, szytego deseniem gwiazd. Dziwne, przytłumione śpiewy szemrały pod pułapem, jak melodia, spadającej do zbiornika, fontanny. W złotych bransoletach klęczących dziewczyc paliła się krew rubinów i kocie szmaragdowe oczy... Palce u nóg zdobiły pierścienie — a osada każdego zamknięta była ametystem, naznaczonym symbolem wiary.

Lekkie, rytmiczne drzenie strun harfianych mieszało się z przycichłą pieśnią. Niby rozchylone kwiaty czerwieniały usta śpiewających, — w oczach dogasał płomień ziemskiego życia, które przestało istnieć wobec bóstwa. Kapłanki modliły się cicho — zadumą swych ekstazy twarzy, — modliły się pokornie — wyciągniętymi przed siebie rękoma, modliły się uroczyście — śpiewem, który drżał, niby poszum cedrów, — modliły się grzesznie — niepokojem wezbranych piersi...

Tezoris, w wieńcu dzikich fiołków, klęczała z brzoza... Była, jak wycięty z numidyjskiego marmuru posąg, podob-

ny tym, które w starych świątyniach Sydonu niewiadome rzeźbiły dłuta. Jej gwiazdookie spojrzenie położyło się u nóg Astarty, w jakimś zaświatowem uniesieniu. Usta rozchyliły się lekko i śpiewały cichą, modlitewną pieśń. Tak trwało przez czas, dopóki błękitnawe płomienie świeczników nie poczęły gasnąć powoli.

Wówczas podniosła się kapłanka, a z nią razem dziewięć szeregów poświęconych bogini dziewic. Stały wszystkie z pierśią podaną ku przodowi i, wyciągnąwszy ręce, schyliły się trzykrotnie, oddając ponowną cześć Astarcie. Zaczem rozwinęły się w kolisko, opasały niem posąg i poszły tańcem dokoła, przy wtórze cichej melodji harf.

Dziewięć razy okrążywszy przybytek, dziewice podchodziły kolejno do bogini i całowały rąbek jej szaty. A martwe, dalekopatrzące oczy posągu zdawały się widzieć ich taniec ofiarny, uszy—słyszeć śpiewy modlitwy, nozdrza — wciągać zapach kadzidlany, a piersi — unosić się pod rzeźbioną szatą—na widok niewstydlivej nagości wybranek świętego misterjum...

Srebrnorogi księżyc schował się za

góry Libanu i pogasły wszystkie światła w kwiecistej świątyni Astarty.

II.

Ostrodzioby statek przybił rankiem do Tyru, wioząc na swym cedrowym pokładzie wysłanników króla Salomona. Potężny monarcha Izraelski, sojusznik mądrego Hirama, niósł mu radosne pozwolenie żeglowania po morzu Czerwonym.

Wyległo miasto, by powitać dostojnych gości. Fenicjanie rzucili pracę powszednią — zamilkły młoty, huczące po kuźniach, handlarze opuścili wrzaskliwe rynki, wojownicy tyryjscy przywdzieli conajświetniejsze zbroje, aby olśnić niemi dalekich mieszkańców Jerozolimy. Co żyło poszło na brzeg, przyjrzeć się wysłannikom. Było ich siedmiu, a na czele stał ulubieniec Salomona, Nabal, znany z urody i niespokojnego ducha.

Cudzoziemcy rozglądali się po mieście, i było się czemu dziwić, boć przecie Tyr wzniósł się do szczytu potęgi, a wielki, słoneczny chram Melkarta panował

nad miastem, niemniej wspinały od świątyni Salomona. Wiedzano przecie powszechnie, że pałac królewski w Jeruzalem był dziełem rąk fenickich i, że pod kierownictwem Hiram stanął dom Jahwe. Władca tyryjski sam wyszedł na spotkanie wyprawy Nabala i, przyjąwszy oznaki czci, powiódł go na swój dwór, który mienił się cały od złota, purpury i klejnotów.

Po drodze Hiram pokazywał gościom miasto: oto tam, na skalistej wyspie przybytek boga Baal-Szamaim, a srebro jej pułapu dobyte z wybrzeży Thasos, tam świątynia Herkulesa i posąg cały złoty, na który szedł kruszec trackich kopalni. Tam znów gaj cedrów i kolumnady świątyni Astarty. Zatrzymał się Nabal... Ujrzał zdaleka Tezoris i oczy rozszerzyły mu się zachwytem.

Kapłanka wchodziła właśnie do świątyni w powłóczystej, srebrnawej szacie, z gałązką akacji we włosach. Na chwilę wzrok jej spotkał się z wzrokiem Salomonowego wysłannika, ale wraz rozdzieliły ich szeregi sunących za przodownicą dziewic. Potężne wrażenie zatrzęsło całą istotą Nabala.

— Kim ona jest?...—zapytał nieśmiało władcy Tyru, lękając się ciekawością obrazić uszy królewskie.

— Wielka kapłanka Astarty — rzekł poważnie Hiram, — ale ty, młodzieńcze, mów raczej, jaką mi wieść przez twe usta potężny Salomon posyła i czy, jak dawniej, przyjaźnią swą zaszczycać mnie raczy?

— Pan mój otworzył morze Czerwone statkom twoim, o potężny królu. Daleka kraina Ofiru kusi swym tajemniczym brzegiem. A gdy popłyną feniccy żeglarze, odkryją ona nieznana ziemię, na chwałę swego i mojego władcy.

Uśmiechnął się następca Abibaala, bo lubił słuchać o dzielności tyryjskiej żeglugi. Zaczem rozkazał szykować biesiadę w wielkiej, purpurowej sali i posadziwszy Nabala przy swoim boku, gościł go najrzadszemi potrawy z za morza, a młody Izraelczyk popijał cypryjskie wina i próżno zalewał wrażenie, jakie na nim uczyniła Tezoris.

III.

Młody wysłannik Salomona zamieszkał chwilowo w bocznym skrzydle Hiramowego pałacu, przyjąwszy uprzednio dary od tyryjskiego króla, aby później zawieść je swemu monarsze. Trzydzieści misternie rzeźbionych waz brązowych, trzydzieści dzbanów z lazurowego szkła, trzydzieści naszyjników minejsko-sabejskich, obwieszonych arabskimi perłami i trzydzieści mis, rznętych w srebrze Tarsiszu — oto były podarunki fenickie, jakimi Hiram chciał uradować oczy dostojnego sojusznika. Prócz tego nieznanne, egzotyczne zwierzęta bajecznych Indji, więc małpy, pawie i papugi miały być przyrzucone tej hojnej daninie.

Wszelako myśl Nabala była daleką od bogatych darów i tylko obyczaj miejscowy kazał mu długo i uroczyście dziękować ofiarodawcy... myśl niespokojnego Izraelczyka uciekła z gościnnego pałacu i kółowała nad świątynią Astarty. Tam przecież żyła jej kapłanka, gwiazdooka Tezoris, najkrańszo córka stoków Libanu. Tam zapalały się jej źrenice, gdy wieńczyła posąg bóstwa w cichą noc tyryjską...

O, z wszystkich piękności najbardziej piękna, kim byli ojcowie twoi?... — zapytywał sam siebie Nabal.—Zali możliwem jest, byś stapała po ziemi, miast, uskrzydłona, jak Archanioł, służyć wielkiemu Jehowie... I coraz bardziej zadumanym się stawał i coraz mniej spokoju było w jego sercu. Aż raz, gdy pogasty wszystkie światła pałacowe i wielka gwiazda Asztoret zabłysła nad Tyrem, wymknął się cudzoziemiec z purpurowej komnaty i poszedł pod świątynię.

Cicho szumiały wyniosłe cedry, pamiętające może jeszcze prastare dzieje ziemi fenickiej, kiedy to bóg El założył był stolicę swą Biblos i zamieszkał na jej wzgórzu. Kolumnady cichego przybytku połyskiwały zielonawem światłem, a ogromne wieżycy oplotły kwiaty z Kitionu, sadzone legendową ręką Kinyrasa — pół bóstwa i pół człowieka, który rozkochał w sobie Astartę. Nabal zaczął się wśród zmroki i oczekiwał Tezoris. Donieśli mu szpiegowie izraelscy, że kapłanka, zwykle o północy, schodzi do poświęconej fontanny, więc dygotało serce pięknego sługi Salomona i płonęły niepokojem jego oczy.

— Czy ujrzę ją? — myślał, pragnąc zgłuszyć tętna krwi, które były jak młoty, — czy zobaczę tę najpiękniejszą?... O, wielki Jehowo, wejrzyj na miłość raba twego, bo ona zbudziła się, jak kwiat wyniesiony z ciemnicy. O, wielki Jehowol! Uciesz niegodne oczy moje widokiem oblicza dziewicy, uraduj uszy dźwiękiem jej głosu. Jam sługa twój, a przez ciebie rozkwita palma wszelkiej radości i szczęścia...

Tak spowiadał się gwiazdzistym niebiosom Nabal i naraz zadrżał, ukryty w zmroce. Jakaś tajemnicza postać przeszła lekką stopą drózkę gajową i zatrzymała się u fontanny. Izraelczyk usłyszał bicie własnego serca... Wielka Kapłanka Astarty obmywała dłonie pod źródłem świętej wody, na tle cedrów do księżycowej jzawy podobna.

Zawahał się. Był świętokradcą spokoju Tezoris. Ale płonęła w nim gwałtowna chęć mówienia z nią, więc, niepomny na obyczaj i swe posłannictwo, wyszedł z gęstwy i stanął przed służebnicą Astarty.

Ona zmierzyła go wyniośle i zapytała chłodno:

— Kto jesteś, szalony, że śmiesz za-

kłócić ciszę moich obrzędów? Zali nie wiesz, żem się bóstwu ofiarowała i niewolno mi przemawiać północą do męża?...

Nabal wezwał imię potężnego Jehowy i padł na kolana.

— Przebacz, o Wielka Kapłanko... Jam syn dalekiej Jerozolimy, wołą Salomona, króla mojego do ziem twoich przysłany. Niósł mnie żaglowiec skrzydłaty i oby był rozbił się o skały podwodne... Bo wówczas nie ujrzałbym ciebie i nie znałoby tęsknoty serce moje, które od tej chwili usycha, jak bez wody irys.

— Więc śmiałeś przybyć aż tu — do świątyni? O nierozumny... płochy młodzieńcze... Słowa twe bluźnią ołtarzom bóstwa, gdzie palą się świeczniki niezemskiej miłości. Wszak wszechwładna Astarta słucha cię w tej chwili i drżysz przed jej potęgą, bo jeśliś żyw i przytomny, to jutro wargi twoje mogą zamknąć się i zamkną się twoje uszy przed wszelkim głosem świata.

Spojrzała dumnie na klęczącego Nabala i chciała odejść. Ale Izraelczyk przycisnął usta do rąbka jej szaty i zaczął prosić gorącemi słowy:

— Nie odchodź i wysłuchaj mnie!!!

Jam nie znał, co to miłość... Obcą mi była męczarnia tęsknicy i młodość moja szumiała... wolna... Teraz zmieniło się wszystko... Odkąd spotkały się nasze oczy, uleciał gdzieś spokój i noce schodzą na mnie bezsenne. Zawładnęłaś całą istotą twojego sługi, a nie masz bez ciebie szczęścia na ziemi.

I przy tych słowach podniósł się Nabal, pięknym zaś był w swej wzorzystej szacie i bujnie spadały mu na ramiona czarne pierścienie włosów. Jego młodociana uroda oczarowała Tezoris, której kamienne serce nie zabiło nigdy dla mężczyzny.

— Nie możesz tu zostać... Będą przechodziły dziewice bogini i ujrzą cię zemną przy gwiazdach. Odejdź... Odejdź i zapomnij. Poświęciłam się w czystości mej, która jest, jak śniegi górskie i, jak potoki kryształowe. Wolej mi było nie rzucić czaru na ciebie cudzoziemcze, bo słodki owoc. do ust się mych chyłący, nie dla kapłanki Astarty, co srogo pokara zaprzańców i gwałcicieli jej bóstwa...

— Sługa Salomonów korzy się przed tobą. Jeżeli odepchniesz mnie, z brzas-

kiem pierwszych zórz żeglarze feniccy wyłowią mego trupa. Jam nie miłował nigdy, a teraz widzę, że serce nie wyżyje samotnie. Zostań... Bogini zmiłuje się nad ziemską przewiną swej kapłanki.

— Idź i módl się do duchów opiekuńczych, choć mówią, że wy jednego Boga wyznajecie. Izraelczyku... król mego państwa, Hiram, czeka na ciebie, przyjm jego dary i zwracaj ku ojczystym brzegom.

Oddaliła się do świątyni. Przez chwilę jej biała postać świeciła jeszcze w srebrnym świetle księżyca, aż znikła za bramą. Nabal został sam, milczący, przywalony głazem lodowatego spokoju Tezoris.

IV.

Przyjawszy zapewnienia wielkiej przyjaźni Salomona, król Hiram pożegnał izraelskich wysłańców, którzy z wschodem słońca mieli odpłynąć do swej ziemi.

— Powiedz twojemu panu — rzekł tyryjski władca do Nabala, — że czczę go i miłuję, jako i radość jest we mnie gwoli naszemu przymierzu.

Ale młodzieniec zagryzł tylko wargi, bo palił mu się okrzyk na ustach: „Królu, ja ci się niewdzięcznie odpłacę“... Poha-
mował jednak niespokój ducha i udał się
ku okrętom.

Znajdując się już nad morzem, spraw-
dził, czy go kto nie podpatrzy i w te sło-
wa ozwał się do przybocznej eskorty:

— Słuchajcie. Niech nikt nie pyta o po-
wód, tego, co powiem. Jesteście do mych
usług i głową odpowiecie za każdy opór.
Kto widział mnie w gniewie, ten więcej
nie oglądał słońca.

Przyboczni schylili głowy, a piękny
Izraelczyk ciągnął dalej:

— Jest was sześciu... zacie, co to oręż
i tarcza. Jeśli nie zbraknie wam odwagi,
każdemu po płaszczu czerwonym. Przez
wasze ręce musi się spełnić czyn, któ-
rym zamierzył, przez waszą pomoc uwio-
zę kapłankę Astarty, Tezoris, do Jeru-
zalem.

Przytomni tym słowom pobledli. Czyż-
by szalony młodzian poważił się targnąć
na osobę służebnicy potężnego bóstwa,
jakie wyznawał Hiram? Ale samowola
Nabała zbyt krwawe cięgi zapisała w pa-
mięci jego podwładnych.

— Nim słońce oświetli mury tyryjskie, pójdziecie ze mną do świątyni. Tam każdy ukryty w cieniu będzie oczekiwał hasła. A w potrzebie mieczom waszym zostawiam swobodę... Okręt izraelski szparko popłynie przez fale... Potężny Jehowa jest z nami i żagle wydmie pomysłnymi wiatry.

Spojrzał groźnie na obecnych, ale wy czytawszy uległość z ich twarzy, spokojnie zeszedł ku morzu.

Szumiało... Wiała odeń tajemnicza pieśń trytonów, balsam słonego oddechu fal. Tajnia głębi, potęga bezkresu, smutek wieczności...

A było szafirowo-srebrne, bo księżyc pieści je chłodnymi usty. Morze spokojne, rozbijające o sinawy piasek perły pian i tęcze muszli... Morze tajemnicze, że zamieszkują w niem bóstwa prabytu: dziwne, ogoniaste, zielonookie kobiety, na młodych topielców łakome... Morze nieskończone, jak nieskończona jest przestrzeń i wolny oddech wszechświata. Morze odwieczne, które wyszło z piersi Boga i opierścieniło ziemię płynnym turkusem... Morze wolne, co się nie da

zakuć w pęta, a tak często niewolnicze opłukuje brzegi...

— Tezoris, gwiazdooka Tezoris...—marzył namiętnie młody Izraelczyk, — moją będziesz po wsze czasy i nie rozłączy cię ze mną bóstwo zaborcze. Zbuduję pałac na wzgórzu Sionu i tam będziemy żyli razem, błogosławieni przez wielkiego Jahwe. Tezoris, kuszącą jest niedostępność twoja...

V.

Płonęły świeczniki, w kształcie skrzydlatych ptaków, rozświetlając bazyliki ścian złotawym migotem. Wielki posąg Astarty, ukwiecony różami Cypru, milczał na srebrnym piedestale. Oczy bogini patrzyły chłodno w przestrzeń, — tajemnicze oczy, przed którymi nie zatai się żadna najgłębiej ukryta wina ludzka. Stożkowaty ołtarz kamienny (masseba) służył bóstwu rozmodloną linią swej poświęconej formy.

Kapłanki dziewięcioma szeregami podchodziły kolejno do posągu i całowały jego stopy. Twarze ich natchnęło mi-

styczne uniesienie, w oczach zamierał doczesny płomień, gasnący wobec światła przybytku. Rozpuściły pierścienne płaszczce włosów i z ciał powłóczyły tkaniny zdjęły. Tylko wielkie indyjskie klejnoty bransolet drżały wśród złotego blasku, jak kolorowe płomienie.

Aż wystąpiła naprzód Tezoris w nagości swojej, strojna djamentami Ofiru, z wieńcem dzikich fiołków na głowie. Zabłysnął cudnie jej wiotki kształt, rozsypały się kędziory, od których biła woń kwiatów maltańskich. Zerwawszy gałąź z świętego drzewa (aszera), wielka kapłanka podniosła ją do góry i tak została nieruchoma, podobna obnażonej rzeźbie.

I wraz popłynęła pieśń wielbiąca nieśmiertelne, a potężne bóstwo.

— O wielka, przezczysta Astarto, bogini księżycy..., co zapalasz gwiazdę polarną fenickim okrętom... O wielka, przezczysta Dido, coś przyjęła w ofierze mężkość Kombabosa... pani tyryjska, promienista ośmioma błyskami Esznuma...

Dziewice modliły się według świętych ksiąg Sanchunjathu, napisanych przez boga Taaut. Ta cicha pieśń płynęła pod stropy świątyni, jak szmer cyprysów, czy

poszum cedrów... Przebrzmiewała w niej ofiara niepokalania i przysięga na wieczną czystość. Służebnice Astarty wyrzekły się rozkoszy cielesnej z oblubieńcem, a nawet jej kapłani składali na ołtarzu najkrwawszą daninę płci swojej.

Dwie „świadome obrzędów“ dziewice niosły złoczone klatki, w których zamknięto poświęcone gołębie. Inne prowadziły barana z farbowaną purpurowo sierścią, inne parę kozłat, których skóra miała kolor ametystu. U stóp posagu duszono także ryby z rzeki Lykos, wszystko zaś, aby wyblagać łaskę „kochanki Kinyrasa“.

Gwiazdooka Tezoris uklękała dziewięciokrotnie, a później, podniósłszy się z kolan, poszła w święty taniec dokoła przybytku. Dziewice śpiewały cichymi głosami: „O Dido promienista, wejrzyj na czystość naszą“... Poczem rozdano im różgi, oplecione laurem.

Teraz zaczęła się najkrwawsza ofiara. Obnażone kobiety, z nieprzytomnymi ekstazą twarzami, smagały się wzajem, siekąc swe ciało do utraty przytomności. Świst różeg przerywały słowa modlitewnego śpiewu i płynęła krew z białych,

pochyłonych pleców. Ale nie wolno było ozwać się jękiem bólu, bo to obrażało potężne bóstwo. Żyła przecie w pamięci kapłanek stara fenicka legenda, że kiedyś zarwał się księżyc nad miastem Berutem za jeden okrzyk smaganej dziewicy. Więc padały okropne razy, a twarze smagających i smaganych świeciły niezmiernym szczęściem.

Tezoris zbierała krew w czarę ze złoczonego spżu... Gięły się biodra, prężyły ramiona i falowały piersi. W smaganiu była okropna męka boleści, lecz i męka rozkoszy... Dygocące, pocięte ciała drgały lubieżnie na gwiazdami szytej makacie. A słowa modlitwy do wielkiej, nieśmiertelnej Istar płynęły uskrzydłone śpiewem...

Naraz w przedsionku świątyni uczynił się zamęt. Słysząc było czyjeś kroki i odgłosy nawoływań. Tezoris zmarszczyła brwi i porwawszy ofiarny nóż, wybiegła ku kolumnadom.

To Nabal, piękny, o niespokojnym duchu Izraelczyk, czał się z ponurą, bladą twarzą w zmroce murów.

Ujrzawszy naga, uzbrojoną żelazem kapłankę, chwycił ją w pól, lecz nie zdo-

ławszy zakrzyknąć, został porwany przez nadbiegające, pokrwawione dziewice.

Związano go i zakneblowano usta. Zaczem kobiety chwyciły niemocnego już za nogi i powlekły głową w dół ku posagowi bóstwa.

Twarz Tezoris była straszna. W jej gwiazdookiem spojrzeniu urodził się okropny Demon zemsty. Pojęła... Szalony cudzoziemiec chciał porwać ją; ją, służebnicę bogini i uwieść na cedrowym żaglowcu. Świadczył o tem sznur za pasem, którym skrępowałby jej ręce...

Nabala położono na ołtarzu. Kapłanki otoczyły go kołem, drżące jeszcze od boleści smagań. Twarze ich zamaryły bladą grozą w obliczu świętokradztwa. „Ten, kto przerwie tajemnicze misterjum, choćby nosił płaszcz purpurowy, jeżeli jest mężem, musi umrzeć”—mówił ich wzrok zawzięty.

Izraelczyk milczał. Był pojmany przemocą i odebrano mu kneblem mowę. Czuł swój los okrutny, ale zamknął się w sobie, dusza jego, bowiem, nie znała, co to trwoga...

Tezoris stanęła nad nim z nożem w rę-

ce. Rozsypały się dzikie fiołki jej wieńca i jeden upadł na oczy Nabala. Piersi kapłanki dyszały ciężko, a zaciśnięte usta przemówiły z trudem:

— Przeklęty, obraziłeś nieznanę ci bóstwo i wiesz co cię czeka!!!

Związany mrugnął powiekami, jakgdyby potwierdzając jej słowa.

— Targnąłeś się na ołtarz święty, na ciszę przybytku, na ofiarę dziewic...—mówiła uroczyście kapłanka.—Czy nie znasz prawa Fenicjan?...

Znów przymknęły się powieki Nabala. Wiedział wszystko, lecz nie przewidział okropnego końca.

— Kto śmiał znieważyć progi świątyni niegodną stopą mężczyzny, tego gniew wielkiej Astarty strąci w przepaść. Czemuś to uczynił?...

Milczał... tylko oczy pałały mu ogniem.

— Czemuś to uczynił?—mówiła jakoś dziwnie smutno Tezoris.—Czemuś, ściągany przez wichry Molocha, podał dłoń szalonym czynom?... Ty młody... Wyroki twoje już zapadły na sądzie Kabirów.

Nachyliła się nad nim i szepnęła cicho:

— Zalim nie wołała: „zapomnij“. Zalim nie rzekła, że bogini służę i że nie

dla ciebie moje ciało przeczyste... O bodajbyś żagle porozpinał i pruć teraz odmęty wolnego morza... Nieszczęsny młodzieńcze... Złe duchy weszły w ciebie i zapaliły myśli twoje...

— O, biedne, blade czoło i czarnych włosów pierścienie... O, biedne oczy miłujące i usta, co mówić nie mogą... Jam, jako śniegi gór i jako źródła kryształowe... Dlaczegoś mi serce przyniósł młode, dlaczegoś otworzył duszy swej skarby, skoro nie dla mnie rozkosze świata i nie dla mnie zakwitają róże miłości?... I niechby nie słyszały uszy kapłanki słów izraelczyka „Kocham“... i niechby nie spytały jej usta po raz ostatni, tu, w przybytku bóstwa: „czy kochasz mnie jeszcze?...

A wówczas blady, jak cień, Nabal zadrżał całym ciałem.. Przymknął powieki.. i zrozumiała go Tezoris. Dwie duże łzy spłynęły z jej oczów, i upadły na jego twarz, podobne cudnym djamentom Ofiru, w jakie stroiły się święte dziewice Istar.

Potem wolno wzniosła rękę do góry, w której połyskiwał nóż. Twarz jej skurczona boleścią, zamarła strasznym

przymusem obowiązku. W miedzianych świecznikach dogasały wolno ognie i stały milczące, nagie kapłanki z okropną zgrozą w pałających oczach. Aż ozwał się cichy, uroczysty głos Tezoris:

— Bądź pozdrowiona przeczysta Pani księżycowa, bądź pozdrowiona Radości naszych nocy modlitewnych... Oto ci składam ofiarę, Gwiazdo polarna, na świętym ołtarzu twym... w cichym przybytku... A niech patrzą się twoje oczy wszechwidzące, a niech roztworzą się twoje uszy wszystkosłyszające, a niech cieszy się twa dusza miłościwa... Bogini nieśmiertelna... Astarto...

I przy tych słowach Tezoris wbiła nóż w serce Nabala i utonął ostrzem, aż po rękojęść, aby odtąd już nigdy nie zabiło kochające serce ziemską miłością dla kapłanki.

SARDANAPAL.

Nowele.

6

Jechał król królów, Sardanapal, przez szerokie aleje, wysypane złocistymi piaski. Poprzedzali go strojni w ciemnożółte atlasowe szaty murzyni, powiewając bogactwem pióropuszków strusich i miedzią tarcz olbrzymich połyskując. Każdy z nich przypominał hebanowego kolosa, o piersiach i mięśniach nadludzkich.

Sam władca jechał na cedrowym wozie, którego boki rozświetlał kosztowny perłowiec, a koła, wykładane szyldkretem, nabierały blasku od złocistości piasku. Ciągnęło go dziesięć ogierów białych. Ich kopyta, jak piasek złote i także uprząż, dzwoniąca miljonem cekinów, grała promiennie. Kity szkarłatne huśtały się u łbów, szkarłatne frendzle wisały przy pyskach.

Rozparty na miękkich, amarantowej barwy kobiercach jechał Sardanapal. Wzorzysta okrywała go szata, srebrnawa z perskiej tkaniny, cała mieniąca się gwiazdy. Potrójny naszyjnik, obciążo-

ny wielkości jaj gołębich brylantami, rozświetlał śniegową biel stroju tęczą niesłychaną. Równie bezcennymi klejnoty iskrzyły się naramienniki drogie, zapinki kosztowne i pierścieni baśń... Zaś korona wspaniałego króla królów była niby jeden olbrzymi, niebieskawego odcienia, brylant. Miljony czarnych rabów zginęły w złowrogim mroku kopalni, miliony rycerstwa, plądrującego skarbce cudzoziemskie skonało, nim ów jaśniejący djadem chwały, Sardanapal na monarsze skronie przywdział.

Dokoła królewskiego wozu, biegły młodziutkie dziewczątka, wybrane z pośród najcudniejszych, trefionowłose, biało-ramienne, różanostope. Powiewały wstąg stubarwnych warkoczami, wachlując jadącego mocarza, a usta ich pełne tryumfującego śpiewu, wesolej radości i lubieżnych uśmiechów sławiły jego imię.

A dopiero za królem królów jechał dwór.

Szli więc różnokolorowi niewolnicy, ugięci pod ciężarem purpurowych, srebrnych, lub wykładanych chryzolitem lektyk, w których potężni ministrowie i możni dostojnicy przeginali swe spa-

sione, kapiące drogocennościami cielska, sunęły wolno bogate pojazdy książąt i ich świty złocistej, dalej bronzowe rydwany wielkorządców, kwadrygi z drzewa różanego, czy inkrustowane egipskim bysem, pełne nadwornych artystów, wróżbitów, mędrców, prawodawców i wprost oślepiających przepychem zbroic rycerzy. Zaś kapłani, o długich, siwych brodach, biało przystrojeni, (włosy ich oplatały przepaski czerwone) wśród blasku jarzących pochodni, wśród uroczystych hymnów i dymów kadzideł, nieśli olbrzymi posąg Assura, uwieńczony, cały jasny, szczerzłoty...

Wodzowie przy łopocie proporców, przy migotaniu tarcz żołnierzy, dumnie błyszczeli na bojowych rumakach. Ich pióropusze, płaszcze i kapy gorzały ukropem amarantu. Dumne, bohaterskie twarze ocieniały szyszaki, nabijane gwiazdami rubinów. Zda się krople krwi pobitych, zachowane na wieczystą pamiętkę tryumfu.

Czterysta białych, kolosalnych słoni, z pozłoconymi kłami, w czaprakach fioletowych, bramowanych deseniem pereł, dźwigały miękkie, jedwabiste poduszki,

gdzieniegdzie pokryte skórą panter, lub tygrysów. Spoczywały na nich czarujące kobiety — królewskie nałożnice, jaśniejsze krasą, od rozpustnych assyryjskich bajek cudniejsze. Połyskiwały syrenie kształty: toczona ramiona, piersi wezbrane, biodra chimeryczne, kędziory wonne... Połyskiwały ozdoby i przybrania misterne: djamenty, szmaragdy, turkusy, bursztyny, onyksy, chryzolity, szafiry, granaty, opale i ametysty...

Zaczem znów sunęły pojazdy z brązu i malachitu, hebanu i perłowca, w formie konch, lub ptaków fantastycznych, a ciągnięte przez różnej maści ogiery, kuce, lwy, tygrysy, pantery, lamparty, byki, nawet sfory specjalnie ustrojonych niewolników. Jechały na nich: kurtyzany, hurysy śpiewaczki, siłacze, czarnoksiężnicy perscy, lutniści greccy, astrologowie egipscy, fakirzy indyjscy, ofiarnicy arabscy, wreszcie cały ten pyszny drobiazg dworski, jakim się nieraz kapryśny król królów otaczać raczył.

Pochód sunął przez wysypane złocistymi piaski aleje. Ujmował je w ramy szpaler drzew tysiącoletnich. Na zakrętach brylantowe fontanny otrząsały

z mglistych warkoczy wonny opar. Naród posągów milczał wśród królewskiej ciszy ogrodów. Najwyszukańsze kwiaty, przerafinowanym zapachem drażniące senne zmysły... cały ich bezkresny kobierzec haftował klomby milionobarwne. Cudne były kwiaty Sardanapala, cudne ogrody wiszące, bajki czarnoksiężskie.

Nagle z pod cienia odwiecznego drzewa wysunęła się jakaś skulona postać. Jeszcze chwila... i błyskawicznym skokiem znalazła się na stopniu królewskiego wozu.

Porwał się król królów, a przytomna jego dłoń zdążyła uchwycić morderczą prawicę, w której zatruty sztylet srebrzył się złowrogo. Wzniesiona ta prawica skamieniała nieruchomo, wątpa, delikatna, w uścisku Sardanapala. On sam dyszał głucho... blady...

Gwałtowną mocą cisnął o złocisty piasek skrytobójcę. Padł bez jęku. Narzędzie śmierci wysunęło się ze zdrętwiałych palców. Zaś dwór wrzasnął bezładem trwogi, popłochu, zamieszania... Pochód stanął... Rzucili się: ministrowie, wodzowie, niewolnicy ku wzburzonemu władcy, gotowi roznieść na mieczach klęczą-

cego u jego nóg spiskowca. Zabrzękły orężem zemsty...

Sardanapał pochylił się nad nieszczęśliwym. Twarz miał kredową, okrutną.

— Kto jesteś psie?!—syknął wściekle.

Nie było odpowiedzi, tylko oto wiatr zsunął płaszcz klęczacej postaci, rozsypując na jej ramiona złocisty deszcz wspaniałych jedwabnych włosów.

— Kobieta!!! — ryknął król królów. — Żmij! Czy wiesz, co cię czeka?.. Męki! Męki! Męki!..

Poczem zwrócił się do swoich przybocznych murzynów.

— Strzedz jej, jak oka w głowie. Musi umrzeć, ale chcę widzieć konanie. Sam wymyślę tortury, że zbledną wszystkie przeraźliwości katowni.

Olbrzymi etjopi porwali winną, łyskając białkami zwierzęcych ślepiów. Skrytobójczyni, nie odsłoniwszy utajonego oblicza, pożegnała straszliwego mocarza kamiennym milczeniem.

Pochód królewski ruszył dalej ku pałacowi, ale chmura zgrozy zawisła nad nim, jak stado sępów — trupojadów. Umilkły śpiewy i nawet kochanice Sardanapala okryły rozpustę nagiego ciała

gazą bengalską. Czasem tylko wprzęgnięty do rydwanu tygrys ryknął złowrogo, zda się wężąc krew z poprutych członków ludzkich...

Aż zatrzymał się pochód przed pałacem. Wyniosły i rozległy, o niezliczonych skrzydłach, stał chram marmurowy. Dziesięć tysięcy kolumn dźwigało jego fenomenalne krużganki, mistrzowskie płaskorzeźby zdobiły fronton i arkad malachity.

Sardanapał zstąpił z wozu cedrowego. Wzięli go pod ręce ulubieni ministrowie i poprowadzili szkarłatnymi wschodami do olbrzymiej sali. Tam połyskiwał tron królewski, cały z pereł. Koberce babilońskie wyściełały doń drogę, brązowe lwy skrzydlate trzymały straż po bokach.

Gdy więc król spoczął wygodnie, a za nim cały dwór rozsiadł się na specjalnie urządzonych trybunach, huknęły miedziane trąby, jakgdyby zapowiadając coś niezwykłego.

Sardanapał, mimo zniewieściałość, lubił rozlew krwi i radował się wrzaskiem bóleści. Pantery swoje karmił ciałami przykrzających mu się nałożnic, strzelał

z łuku do spokojnych tłumów, lub trawował wozem cedrowym dzieci maleńkie. Teraz zaś łomotało jego serce potrzykroć, potysiąckroć gwałtowniej, bo oto nadeszła godzina zemsty, godzina tryumfu nad żmiją, która chciała ukąsić go śmiertelnie.

Powstał więc i zawołał:

— Wprowadzić winną!!!

Rozsunęła się amarantowa kotara, zasłaniająca drzwi wchodowe. Wtoczyło się dziesięciu katów, półnagich niezgrabnych olbrzymów, o krwiożerczych twarzach. Dźwigali przeróżne narzędzia tortur: koła łamiące stawy, rozpalone do czerwoności pręty, kolczaste obroże, haki, piły, siedmiozębne widły i namoczone w gryzących kwasach bicz. Zaczem dwunastu żółto przybranych murzynów, pod strażą błyszczących włóczni, wprowadziło kobietę i zatrzymało przed tronem króla królów.

I stał się nagle jakiś niesłychany dziw.

Sardanapal zerwał się z tronu, zaś bałwochwalczy okrzyk zachwyty władcy rozbrzmiał po komnacie:

— Jaka cudna!!! Jaka cudna!!!

A wówczas kobieta nagłym ruchem

odpięła agrafę na ramieniu, podtrzymującą fałdy, ciemna szata spłynęła miękko ku posadzce i... fenomenalna piękność zajaśniała, by posąg grzechu.

Sardanapal oniemiał. Jego blada, zniszczona twarz buchnęła ukropem wzruszeń, jego przygasłe oczy oświetlił płomień, rzadki gość w spojrzeniu wędzającego rozpustnika. Zmienił się cały w niedowierzanie, a za nim dwór, i niewolnicy, i wszyscy, wszyscy...

— Jaka cudna!!! Jaka cudna!!!

Oto on, najpotężniejszy i najbardziej hołdujący bezwstydomi, oto on, król królów, lew narodów, władca i mocarz, oto on, któremu świat cały bije pokłony, zazdrości kochanek, oto on, przeżyty wszelaką rozkoszą, obiecujący połowę państwa, za wynalezienie nieznanego upojenia, on skamieniały zachwytem, utonął teraz w gwiazdzistych źrenicach tej... cudnej, zda się pokorny rab...

Marmurowa cisza rozpięła nad komnatą swe nieruchome skrzydła. Kobieta stała demonicznie piękna, złotowłosa, tryumfująca...

Sardanapal zstąpił z wyżyn tronu ku niej, skrzyżował upierścienione dłonie na

królewskiej piersi i, pochyliwszy ukoronowaną głowę, klęknął przed skrytobójczynią, a z nim razem klęknął cały dwór, i niewolnicy i wszyscy, wszyscy...

Później zaś wstał wolno z kolan i rzekł do oniemiałych tłumów:

— Ja, Sardanapal, uczciłem najcudniejszą z cudnych. Godziła na życie króla królów, ale blask jej krasy spalił sprawiedliwość. Kochanką moją będzie... bóstwem mojem, rozkoszą moją, perłą świetlicy mojej...

I przywarł gorącemi usty do purpurowych warg złotowłosej.

Cały zaś dwór, wszyscy ministrowie i kapłani, nałożnice i hurysy, rycerze i kolorowe sługi klęczeli w uroczystej pokorze przed nową kochanką Sardanapala.

.
.

W szacie z błysków szafirowych tkanej, w szacie tanecznicy chaldejskiej siedział Sardanapal przed kołowrotem. Jego oczy, podkrażone syryjską czernią, były słodkie i wszeteczne. Usta, różowe od pokrycia kwietnym szkarłatem, za-

stygły wieczystością pocałunku i najtajniejszą lubieżą. Ręce i piersi nagie miały kolor srebrno-liljowy, drobne stopy lechtał niepokój kwiatów bezwstydných. Krótka szata odstaniała nogi, aż powyżej ud, nogi kobiece i smukłe...

Był wieczór spokojny i gwiazdy już zapalały się powoli...

Przął Sardanapal czerwoną wełnę, nucąc rozpustną piosenkę o zakochanym w dziewczęciu potworze. Pod ścianą jasnej świetlicy rozciągnęła się czarna pantera, leniwa i złowroga, z śpiącym nieobliczeniem w swych przykuwających źrenicach. Lamy dziwaczne, formą podobne do zwierząt i ptaków, sączyły w pachnącą atmosferę płomienie mętne. Wszędzie rozrzucone kielichy po wypitem winie... wszędy purpurowe kwiaty... wszędy kadzidlane dymy... Warczenie kołowrotka i pieśń króla dzwoniły w ciszy...

Przął Sardanapal czerwoną wełnę, spity, półnagi, w szatach tanecznicy chaldejskiej. Uróżowanemi usty śpiewał, podczernionemi oczyma obejmował sprośne malowidła ścienne, które z jego myślami żyły jednakowo. Długie, złotawe włosy spływały mu na ramiona, jak spływają

u kobiet, gdy bursztynowe grzebienie zaczynają ciężyc przy skroniach.

Zawyla czarna pantera, przeciągając smukły kształt i miękko podpełzła aż do stóp Sardanapala. Kolczastym językiem zaczęła lizać białe stopy królewskie, a on, zmysłów dreszczem przeszyty, urwał piosenkę i przycichł,—rózanolicy...

Gwiazdy zapaliły się już w wysokościach,—nieznane, srebrne mieszkanki granatowego nieba.

Z pośród lazurowych, kręconych filarów wypłynął korowód nagich postaci. Oczy ich marły niewieścią bezwołą, ale długie brody czerniły się złowrogo, zaś uzbrojone mieczem dłonie szukały wrogów. Przebrane za rycerzy nałożnice trzykrotnym pokłonem składały cześć królowi w stroju tancerki.

— Witaj nam... jedyna, nieśmiertelna kochanko... Witaj czaro rozkoszy, słodkouda, nienasycona, bez miary urody pełna... Witaj, ty, od Astarty cudniejsza, kochanko stęsknionych ust naszych...

A król uśmiechnął się pieściwie i stanął w jaśni.

— Witajcie lwy, pancerni moi brońcy, ochotni w polu walki i przy dzbanie pło-

miennym... Witajcie, mieczami zagłady wyoreżeni, czarnobrodzi... najmilsii oczom moym błękitnym... wojownicy.

Kopnął Sardanapal hebanowy kołowrotek i czerwona przędza zmotąła się, jak krew rozmięszana. Przegiął się, ledwo okryty cienką, podniecającą szatą, dzwoniąc bransoletami, w których paliły się szafiry.

— Idę do was rycerze, idę, nienasycona, jedyna, najpiękniejsza... Weźcie usta moje, weźcie te źrenice przepastne, w których wszystko najśłodsze dojrzewa. Będę się smagał wonnościami nasyconym biczem... do szaleństwa, bez granic... Moje białe uda będę smagał, ramiona jasne i nieporównane... Cały zalany krwią kipiącą, ciała mego przepycham wam ofiaruję...

Zaczął tańczyć półnagi król przy bezładnym wtórze harf i bębenków. Brękały jego zausznicie złociste; stopy były o kobierce jedwabne... cały się zmienił w taniec... w szal... w zapamiętanie...

Naraz ryknęła głucho pantera, a jednocześnie uczynił się zamęt u wrót do jasnej świetlicy. Wszedł rudobrody człowiek, zakuty w pancerz, ze szkarłatną

kitą na szpiczastym szyszaku. Stał pounury i olbrzymi, a oczy jego były smutne.

— Królu... — rzekł. — Przynoszę wieści okropne, że zadrży twoje serce... Tam bunt dojrzewa, jak owoc jesienny... Płomienie jego objęły miliony... królu. Podczas, gdy ty przędziesz wełnę czerwoną i zabawiasz się płasem swywołnym, wpadnie Arbaces na czele rokoszan i mieczem zagłady w drzwi twego pałacu uderzy...

Sardanapał zatrzymał się wpół tanecznego skoku i bladł pod tchnieniem straszliwych wieści. Rozpostarł ręce, później utopiwszy je we włosach złotawych, szarpiąc jedwabne sploty rozpacznie i bezsilnie. Z oczów puściły mu się łyzi niepohamowanym potokiem,

— Królu... — ciągnął dalej złowrogi poseł. — Rozpędź niewiasty i rzezańców podłych i niech oręż błysnie w twej prawicy. Jak dawno nie widziały ciebie wojska... Gdy staniesz na ich czele, zadrży pycha buntowników... a ty, zwycięzca, sprawisz sąd sprawiedliwy i zdepciesz jadowitego węża...

Sardanapal blady, zroszony potem, rozdarł wzorzyste szaty, a później rzucił się o ziem i gryząc kobierce, jęczał żałościwie. Jego niewieście, wypieszczone dłonie łamały się w lęku, jego skulony, mały kształt drżał, jak drżą ptaki zranione. Strach rozwidnił mu oczy nieprzytomnem jarzeniem.

— Co mówisz?... Co mówisz?... przekłety!!! Czemu nie umierasz przedemną... Idź, lub odwołaj wieści kłamliwe... Wieje od ciebie chłód grobów... Brrr... Masz krew na pancerzu... O podły!!! Ja, król twój, każę cię rozedrzeć na dwoje... Słyszysz!!!

— A przed tem zjawi się Arbaces, który przysiągł na cześć przodków, głowę twoją rzucić pod kopyta rumaka... Królu tyś widział tylko cudze męki...

— Och... nędzny, zamilcz, lub tym oto pucharem strzaskam ci czaszkę. Zamilcz, błagam, bo wściekłość wstaje we mnie, jak tygrys przebudzony...

— Arbaces zebrał siły ogromne. Nim słońce wstanie może już być pod murami pałacu i domagać się twojego trupa... Królu...

— Nikczemnik, a ja mu ufałem... Czyha

na ciało moje, różami pachnące... Na moją, złotowłosą głowę czyha... O biada!!! biada!!! Gdzie teraz pójdę, gdzie ukryję się z kochankami pijanemi?... Czy przebrany za żebraka ucieknę w noc bezgwiezdną?...

— Królu, weź miecz do ręki i przywdziej złotą kolczugę. Wojska tobie oddane liczniejsze są niż buntownicze zastępy. Bądź mężny, i silny, i hardy...

— Dajcie mi szyszak, oszczep i tarczę szyldkretową. Wóz bojowy niech mi szykują, z siekaczami przy kołach miazdzących. Król wasz chce zwycięstwa!!! Król wasz chce krwi wrażej!!!

Sardanapal zatoczył się na lazurowe kolumny, objął jedną z nich i tulił się nagością ciała do chłodnego głazu. Strach sparaliżował jego wątłą pierś, strach trząsał całą istotą i gwałtownie bijącym sercem.

Ryknęła głucho czarna pantera. Podano królowi ciężki, oburęczny miecz, lecz słaba dłoń monarsza nie zdolna była podźwignąć oręża. Więc znów puściły się łzy z jego oczów i drżały wargi, zda się, u dziecińcy przelęklej.

— Ach, złe demony godzą w moje

czoło... Złe demony z twarzami Arba-
cesa. Dajcie mi go, dajcie, przekleci,
niech widzę zdrajcę przywiązanego do
pala w płomieniach męki!!!

— Królu, otrzyj łzy niemęskie... W tej
chwili musisz być najbardziej silny i naj-
bardziej grozę budzący... Królu!!!

Półnogie nałożnice, którym już przy-
prawione brody odpadły, zaczęły ubie-
rać Sardanapala. Włożono mu złocistą
zbroję, szyszak rubinami sadzony, mie-
dziane nagolenniki i płaszcz fiołkowy za-
rzucono na plecy. Lecz miecza nie mógł
król utrzymać, a szyldkretowa tarcza
zdrewniała ciężarem jego ramię.

W całym pałacu zapanował popłoch
i trwoga. Wojownicy i rzezańcy zbroili
się naprędce, ale i oni pod rządami
gnuśnego króla nie wiedzieli, co to oręż
i puklerz. Poobnażane kobiety—cały ich
tabun uciekał na najwyższe tarasy, by
zaszyć się gdzieś, wśród wiszących ogro-
dów przed grozą okropnego dnia.

— Biada... biada!!! — brzmiało po ca-
łym pałacu, przy wtórach ryków zwie-
rząt, których całe setki w miedzianych
klatkach trzymał Sardanapal na dworze.

— Biada... biada!!! — powtarzało echo

tysiącznych komnat i zamęt rozsiewał się coraz bardziej.

Wybiegł uzbrojony król na arkady rzeźbione. Skinął lekkim, jakgdyby przez ironję danym mu mieczykiem, a wodzowie wyprowadzili przedeń olbrzymie zastępy jego wojsk nieprzekupnych.

— Witaj królu królów!!! — zabrzmiało wszędy...

Król zachwiał się na nogach, bo myślał, że żądają jego trefionej głowy. Ale zebrał ostatek przytomności i na bojowy rydwan wstąpić raczył.

.

Łatwo zwyciężyły wojska Sardanapala bezładne i powaśnione między sobą hordy Arbacesa. Polała się krew na żyzne równiny, a piramida zwłok zastygła we śnie nienawiści. Chmury kruków spływały z wyżyn, wspólnie z szakalami przez śmierć na żerowisko zaproszone.

Pijany tryumfem Sardanapal wracał cały w kwiatach, cały w mazi krwawej, którą jego zastępy z wrogów wycisnęły. Kazał szykować ucztę, bardziej od poprzednich wspaniałą, aby przeszła zbytkiem wszystko, co świat rozkosznego wymyślił.

Więc trysnęły wina najstarsze i pieśni
wszteczone napełniły echem komnaty
pałacu. Wszędy rozpasal się korowód
nagich ciał, wszędy dojrzewały płomien-
ne całunki i wszędy dzwoniły arfy, ró-
żami oplecione. Król pił ze złotego szy-
szaka, mając u nóg czarną panterę
i wezbrane piersi kochanek wilgotno-
ustych.

Na sławę, na ztratę wrażą pił Sarda-
napal. Wtórował mu rozbestwiony dwór,
rzezańcy, rycerstwo, nałożnice... Czer-
wona jasność beztrosnego uśmiechu roz-
widniła szafir zwyciężkiej nocy.

Aż nagle... wstał Lęk blady i krwa-
wem okiem spojrzal w twarz weselu.

Czarny niewolnik przyniósł paraliżują-
cą wieść, że oto już wdzierają się nie-
znane hufce na pałacowe tarasy.

Arbaces, przed godziną rozbity w pył,
zebrał resztki sprzymierzonych i niespo-
dziewanie roztworzył mieczem drzwi do
uczującego króla.

Wyjąca horda napastników zaludniła
mury ukwiecone. Ciężkie oszczepy były
w drzwi granitowe. Wszędy buchała
purpurowa okropność krwi z wyprutych
żył i roztworzonych piersi.

— Króla!!! Głowy królewskiej!!! Ciała królewskiego chcemy!!! — kłębił się ryk złowrogi.

Nieprzytomny winem i strachem dygotał Sardanapał. Zwycięzki miecz wypadł z jego ręki białej i przytulony król do nałożnic swoich jęczał głucho, wylewając łzy i rwąc włosy pachnące.

Znikąd nie biegła pomoc, bo zastępy królewskich wojsk gdzieś daleko za górami spały po dniu pracowitym.

Znikąd nie biegła nadzieja, jeno coraz potężniej wzmagał się ryk:

— Króla!!! głowy królewskiej chcemy!!!

To przed godziną rozbity Arbaces przygrywał tak do uczt Sardanapałowi.

Zamknął się król w obronnej Niniwie i za murami szukał ratunku. Ale wylał Tygrys i strasznym bezładem chlustających wód rozwalił spoiste głazy warowni.

Garść niewolników, naprędce porwany oręż walczyła rozpaczliwie, lecz coraz mniej krzyżowało się mieczów skrwawionych.

Ostatni trup obrońcy, ze strzaskanym czerepem, runął gdzieś w przepaść i Arbaces roześmiał się straszliwie.

Tam, za granitowemi drzwiami, drżał błądy król, przytulony do nałożnicy, ze śmiertelną trwogą w obłąkanem spojrzeniu.

Za chwilę wpadną zwycięzcy i dokona się odwet potwornej nocy.

Porwał się Sardanapal i błądź jego umarła. Czoło opromieniła mu niewidziana dotąd aureola pychy wielkiego mocarza. Zajaśniał spokojny i dumny wielkością swoją.

— Niech mnie ustroją w djadem królewski!!! Niech mi podadzą miecz, opleciony róż wstęgą purpurową!!! Jeszczem żyw i żywie jeszcze pokora niewolników moich!!!

Wstąpił król na bazaltowe wschody, które do sal jego złocistych wiodły. A za nim potoczył się bezładny, nagi tłum królewskich kochanic, z lękiem w rozszalałych źrenicach, które nigdy smutku nie znały.

W olbrzymiej, stukolumnowej sali drzemały skarby Sardanapala. Djamentowa łuna biła od nich, że marł wzrok osłepiony. Nieprawdopodobne legendy przekradały się przez mury pałacu, kła-

dać w usta pieśniarzy hymny na cześć bogactw królewskich.

Sardanapal otoczył się wieńcem pachnącoudych kochanek i podniósł ręce do góry. Jego oczy świeciły, jak dwie gwiazdy dalekie, tajemniczym blaskiem wybiegając w bezkres.

— Żegnaj mi dniu słoneczny i błądy księżycu, nocy rozkosznych przyjacielu, żegnajcie ogrody wiszące, kędy upajają rozkwitłe róże i srebrzą się tajemnicze jeziora. Żegnajcie skarby moje i wy, kochanki słodkowargie, żrenicom moim najmiłsze.

Wstała posępna kobieta, o oczach barwy szmaragdu. Godziła niegdyś na życie króla, a on przebaczył jej w imię Piękna i klęknął przed jego majestatem. Teraz spojrzała hardo wprost w oczy władcy, a niemy jej wzrok mówił:

— Czas na ciebie...

W dłoni królewskiej buchnęła pochodnia. Zakreśliła koło nad komnatą i upadła na puchy łabędzie. Skoczył czerwony wampir ognia i roześmiał się przeźliwym chichotem.

.

I tak... w złocistej kurzawie pożaru, w chmurze brunatnych dymów zginął Sardanapal. A wraz z nim spłonęły jego wierne kochanki i skarby bezcenne, którymi pieścił się do chwil ostatnich. Zaś błądy wściekłości Arbaces unosił w pierśsiach grozę i przerażenie, kryjąc się wśród mroków nocy, jak zły demon, co próżno chciał jednego z bogów przykuć do zwyczajnego rydwanu.

NABUCHODONAZOR.

Był ranek nad Babilonem...

Największy plac miasta szumił — zgiełkliwy. Siedmkroćstutysięczny tłum kolebał się niesfornie, oblepiwszy wieżę Belusa i piedestały skrzydlatych byków, które do pałacu królewskiego drogę roztwierały. Próżno w miedź zakuci nubijczycy usiłowali trzymać karność. Ich dziiryty krwawiły się już w słońcu, a bicze porwały o grzbiety tłuszczy.

Naród oczekiwał widowiska. Dnia tego miała się odbyć publiczna egzekucja szpiegów egipskich. Wyłapano ich aż trzy tysiące, aby wszyscy zginęli przed oczami ludu, z łaski Nabuchodonozora.

Dzień ten stał się ogólnem świętem. Rzucono powszednią pracę. Radość napełniła serca, a wycie—plac kaźni. Fruwały śmiechy, klątwy—bezład ludzki. Częste głązy biegły pod niebo, aby spaść na nieznanne głowy. Zaś słońce promieniało w bezkresie, obojętne, milczące i dalekie...

Sam król wynajdywał dla skazanych męki. Chmura dworskich zauszników szlifowała krwawe pomysły. Więc cieszył się zebrany naród, że będzie się czemu dziwić. Miotał gradem kamieni i szumiał na cześć króla.

Stu purpurą strojnych babilończyków uderzyło w trąby mosiężne. Tłum powitał ich rykiem, ale metaliczne dźwięki rozlały się nad miastem, jak powódź olbrzymia. Cały Babilon rozczętnął się i roztrąbił.

Otwarto wrzeczadze w bocznem skrzydle dworca królewskiego i szeregi dziwnie wyglądających istot jęły sunąć przez zbałwanione ciżby. Pochód katów przyjęto radośnie. Niewiadomo gdzie rwane kwiecie padało im pod stopy. Oprawców szło kilka tysięcy, — wszyscy straszni. Nadzy, półdzicy, o twarzach bezmyślnych i zwierzęcych, jakgdyby ze starych fenickich malowideł kopjowanych, gdzie występują okropni korsarze, wampiry gór i ze wszech miar wilkołacze demony leśne. Wiała od nich skrzepła jucha, połączona z ohydą płazich dusz.

I zaraz buchnął płomień rozgwaru, bo oto ukazali się skazani. Postępowali dłu-

gim, posępnym korowodem, ale ta posępność zamknięta była tylko w rysach. Ciała mieli młode, świeże, pulsujące ukropem życia. Zda się specjalnie tu czone ciała, zaprawne do walki ze śmiercią, gdzieś jeno przedzgonną biżuterją kajdan bogate. Sunęli, właściwie biegli, podnieceni świstem biczów. A może był w nich ten odruch ludzi, którzy mają prawo chcieć, by potworna rzeczywistość stała się, jaknajszybciej, po ich zgonie, tylko potwornem... wspomnieniem.

Dotarli do olbrzymiego wzniesienia. Już przedtem opierścieniał je potrójny łańcuch żołnierzy. Tu jednak najmężniejsze serce zabiło strachem. Wzniesienie owe dawało dokładny przedsmak za chwilę tu mających się rozegrać okropności.

Zewsząd spiętrzone czarne kręgosłupy palów, niemniej mroczne sylwety szubienic, dotychczas nie splamione najdrobniejszą plamką posoki, patrzyły złowrogo w błękit. Dziesiątki stosów, ze smolnych kawalców drzewa, żelazne tygły, pełne roztopionych metalów, maszyny do gniecenia i ćwiartowania, straszne

oburęczne topory, koła łamiące szkiele-
ty, piramidy maczug, nożów, haków, lin,
pił drewnianych i cęgów,—wszystko to,
w jakimś kamiennym bezruchu i zło-
wroźnym nieładzie, oczekiwało drgają-
cych szmatów mięsa. Kaci, uwijając się
wśród przyrządów, potrącali metalowe
przedmioty, a wówczas przeglądające
się w nich słońce migotało straszliwie,
nieubłagane i okrutne.

Skazanych chwilowo przykuwano do
belek dębowych. Niebawem miał się zja-
wić Król i Dwór, by Godzina Krwi wy-
biła.

A oto olbrzymi, kędzierzawowłosi Nu-
midzi wnieśli w lektyce djamentowej
Nabuchodonozora. Był cały w łunie klej-
notów, cały w majestacie purpury, złota
i grozy. Jego brązowa twarz miała po-
łyski starożytnych babilońskich masek
okrutnych i mściwych bogów. Jego źre-
nice paliły się złowrogiem jarzeniem naj-
okropniejszej żądzy mordy.

Postawiono lektykę królewską na por-
firowych wschodach pałacu, usypanych
czerwienią róż odurzających. Mgła dy-
mu kadzidlanego rozpełzła się po tłocz-
nym placu. Miedziane trąby lunęły w niebo

rykiem przeciągłym. Z wzniesionemi ku władcy rękoma naród upadł w proch ziemi, pokłonny, czołobitny...

Nabuchodonozor patrzył z wyżyn. Wszystko, co żyło, jego przyboczna świta, potężni dostojnicy, rycerstwo, Numidzi, dźwigający lektykę i tam, gdzieś, w dole, bezładny, siedmkroćstutysięczny lud, który nienawistnem koliskiem opasał skazanych, wszystko leżało teraz plackiem przed apoteozą jego potęgi. Uczuł się tymbardziej wściekły, że samotny. Zrozumiał, że pierwszy minister dworu i ostatni rab są przed nim równi. I tamten i ten z jednakowym rozmachem padają na twarz przed tygrysem królów i tamten i ten jest mu jednakowo obcy, niezdolny wznieść się myślą do jego myśli, zgięty wieczną pokorą i wiecznie szepcący pochlebstwa blade mi usta.

Dał więc znak berłem z lapis lazuli; świsnęły bicze i buchnął jęk. Kaci, jak jeden mąż, przystąpili do przerażającego dzieła.

I zaczęła się owa potworna epopeja bólu, nieznająca równego wyrafinowania w historii najwymyślniejszych udręczeń.

Powoli, niemal spokojnie, niemal cicho spłynął na lepkich skrzydłach Krwawy Demon, upiór niszczący i mściwy. Zawisnął w przestrzeni z uśmiechem hyeny, oczyma węża, ustami wampira. Szkarłatna zawierucha ogni stosowych opromieniła go aureolą czerwoną i świecił tak olbrzymi, potrzykroć grozy pełen, poczterykroć nienawiścią skamieniały, katujący półbóg, duch zatraty, z twarzy podobny do króla.

A Nabuchodonozor śledził już przebieg tortur i radowało się jego okropne serce, gdy niespokojny wzrok gonił za przedśmiertnymi drgawkami ludzi. Tam zaś rozgrywały się sceny niemożliwe do opisania, sceny przerażające i ohydne zarazem. Jednemu ze skazanych zdarto skórę i dano na rozkosz wściekłej kobiecie. Drugi, wbity do połowy na pal, walczył z miljonem głodnych mrówek, pijących zeń krew gorącą. Ówdzie smażyła się już na ogniu jakaś ofiara, a ówdzie przepalawiano drewnianymi piłami nogi, ręce i brzuchy ludzkie. Tłum wytrzeszczał oczy, kręcił się, tłoczył, przeklinał, śmiał spazmatycznie i wył na cześć króla.

W żelaznej klatce siedziała nieruchoma postać, skulona i milcząca. Był to ludożerca, furjat, kolosalnego wzrostu i potwornych kształtów. Trzy dni nie dawano mu jeść—raczej drażniono krwawymi ochłapami śmierdzącego mięsa. Teraz wpuścili kaci do klatki skazanego na żer głodu zwierza w ludzkiej formie.

Furjat skulił się jeszcze bardziej, a później wstał całą wysokością druzgocącego ogromu. Żrenice jego poczęły łypać mętnym blaskiem, pazury zakrzywiły się, jak zakrzywiają się one u panter szcztutych. Poczem ryknął krótko; kręcony włos zjeżył mu się na płaskiej czaszce i wbił zęby w ramię ofiary.

Trysnęła posoka, a skazany, zwinawszy się w lęk, jał bronić się ze wszystkich sił. Spletli się więc gwałtownie i wściekle, podobni złym duchom z jakiejś upiornej legendy, wraz obłąkani instynktem zraty i samoobrony. Smukły egipcjanin tylko przez chwilę giał lewą rękę murzyna, wyłamując jej stawy. Padając na ziemię bili nogami w żelazo kraty, które już zdołała krew obryzgać. Egipcjanin po raz trzeci próbował oderwać mordę ludożercy od rozgryzionego

ramienia i po raz trzeci omdlewał bezmocy. Kły oprawcy wpiły się w jego muskuł i zacisnęły kurczowo, łapy zaś próbowały unieść do góry. Jeszcze jeden nieludzki krzyk i ciało rzucone o ziem drgało już tylko, by robak zdeptyany. Potworny, ciemny kształt przykrył je falującą, spoconą masą.

Egipcjanin miotał się i drętwiał zarażeniem, murzyn czekał głucho, zaś ohydne jego wargi żygały pianą, chłepcąc surową krew. Strzępy wydzieranego ciała, chrzęst kości, błamy skóry i kłaki włosów... zlało się to wszystko w jakiś okropny sen, jakąś marę gorączkowej nocy. Ale przytomność ofiary skończyła szybko. Obląkany kat wyłupił mu obydwie źrenice, odgryzł nos i uszy, poczem już nieruchomemu roztworzył kłami dół brzucha i zanurzył potworną mordę w dymiące wnętrzności.

Tłum oszalał. Nieprawdopodobny chaos ryków, śmiechów, klątw i oklasków uderzył w spokojnie patrzący błękit. A słońce rozświeciło się jakgdyby złościściej, zda się na tryumf tych mąk nieczłowieczych, które oglądało z bezgranicznej wyżyny, źrenicą djamentową.

Dwuch półnagich katów zawiesiło skażaćca głową w dół, nacierając go powoli gryzącymi kwasami. Innego rozciągnięto na wznak, w bezwstydney pozie i wwiercono wewnątrz rozpalony do czewoności świder. Tam znów miażdżono ogromnymi głazami stopy, każąc później skakać przez łańcuchy ognia. Jakiś rudy oprawca bawił się wyciem katowanego, zadając mu systematyczne razy drewnianą maczugą powyżej krzyża. Niektórym wyrrywano języki, lub rozdzierano palce, aby je goić później odwarem pieprznym. Wielu gotowano po pas w ukropie, z olbrzymimi kawałami lodu na karkach.

Kamienowanie było obojętne tłumom, ale grzmot oklasków powitał starą, babilońską torturę, polegającą na odcinaniu obydwuch dłoni tępym nożem. Winnego podnoszono za ręce do góry, poczem tarto je umyślnie niewyostrzoną stalą, póki się nie oddziela od przedramienia. Zaś najgoręcej rozradowały się serca motłochu, ujrzawszy mękę ze słoniem.

Wspaniały, tresowany olbrzym porywał trąbą ofiarę i wyrzucał wysoko, łapiąc ją czasem w locie i za każdym razem

powtarzając tę straszliwą w swej bezmyślności, zabawkę. Gdy skazany omdlewał, cucono go i znów odbywała się napowietrzna podróż, kończąca się zwykle znieruchomieniem krwawej, niepodobnej do człowieka, masy.

Rafinowana udręka załechtывania na śmierć przez najpiękniejsze hetery miasta, zrywanie paznogi, wyszarpywanie włosów, kastrowanie, smażenie na dowolnym ogniu, igraszka z kolczastym drutem, w końcu odwieczna tragedia pała, może mniej interesowała przywykłe do okropności ciżby. Wszelako tu i owdzie zerwał się okrzyk, gdy uwiązany za głowę nieszczęśnik bronił się kopaniem przed sforą głodnych myszy. Więc padały kwiaty upajające, strojąc poprute ciała centkami barwnymi, a gromkie oklaski niepokoiły martwych...

Z wyżyn porfirowych wschodów pałacu spoglądał Nabuchodonozor...

Jego twarz stała się upiornie-sina, drgająca u skroni... Na czoło wystąpiła rosa potu... Ręce, wpite w krawędź lekietyki, stężały, jak u posagu... Sapał ciężko...

Podano mu dzban wina... (wypił już

wiele głębokich pucharów). Chrapliwe dyszenie podnosiło pierś olbrzymią i wybiegł z niej śmiech obłąkany, aż zgiął się w łęk pokory złocisty dwór tygrysa królów...

A tam bluzgała coraz świeższa krew i otwierały się coraz okropniejsze rany. Ci, którym oszczędzono mąk ognia i wody, ginęli w skurczach wyciągania stawów i miażdżenia kołem kamiennym. Wiatr huśtał już niejedno ciało, zwieszające się na hakach szubienic, wiatr przynosił niejedne odgłosy wrzasku bóleści, czy jęków przestachu. Ręce oprawców pracowały niezmordowanie, czerwone po łokcie mazią posoki.

Uśmiercano razami krzemienego młota, darto szmaty ciała z pleców i ramię, walono maczugą w wygolone czaszki, a tłumy wyły nieprzytomne już, pijane rozdzierającym widokiem, że były chwile, gdy bezład ludzki wdzierał się na wzniesienie męki, aby szarpać wraz z oprawcami i wraz z oprawcami uwalniać się w kałużach zewsząd żygającej krwi.

Tam wyłupywano źrenice, tu znów pogrążyły się haki w brzuchy, czy uda,

skrzyp pił połączony z chrzęstem miążgi kostnej, jęczał ustawicznie, wyprute żyły okręcały się koło nóg katów, dudniał stukot ciężkich toporów, a nad tem wszystkim kwitnął uśmiech złowrogiego słońca, w Godzinie Krwi przytomnego wśród błękitów.

Wypadł dzban z dłoni Nabuchodonozora... Cofnął się król w tył, — śmiertelnie blady... Oczy stanęły mu kołem, ogromne i krwawe...

Dwór zmartwiał... Zakolebał się bezładnie i pochylił w lęku...

Król skoczył, zda się ranny zwierz, waląc o ziem pierwszego po drodze Numida. Rzucił się na czworaki, taki jak był, w rubinowej koronie i ogniu purpury. Pokazał łyskające zęby z pod sinawych warg, które kłapały wściekle... Ściekająca piana białymi płatami zwisała u brody.

Dwór zadygotał śmiertelną trwogą, a król na czworakach czekał, jak pies... Głuche jego przeciągłe wycie lunęło w niebo...

Stoczyła się z głowy monarszej rubinowa korona... Król porwał ją zębami i gryzł zapamiętale, aż rozsypały się

czerwone kamienie na porfirowe wschody...

Król czekał, jak pies... Na czworakach... Piana tocząca się z ust opryskała szaty bezcenne...

Zbiegł po ukwieconych stopniach... Między lud... Tłumy rozstały się i upadły na twarz... W pokorze, w przerażeniu...

Król czekał, jak pies... Podniósł głowę ku słońcu i wył przeciągle... Aż wściekłość rozparła mu łono... Chwycił zębami kark młodej kobiety i jął chleptać jej krew gorącą...

Cizby zakołysały się uderzone strachem. Wrzask zgłuszył wycie króla i wybiegł het, ku błękitom. A słońce zatrzymało się w djamentowej aureoli, patrząc na szczekającego moczarza.

Pękł łańcuch straży numidyjskich... Nieprzytomne lękiem tłumy rzuciły się we wsze strony tłoczego placu. Deptano się i zabijano. Kobiety szły pod stopy mężów, dzieci ginęły w zamęcie...

Król czekał, jak pies. Oparł dłonie na trupie młodej dziewczyny, niby molo, gdy zabiera się do żeru. Miała przegryziony kark i zgruchotany kręgosłup.

Siedmkroćstutysięczny ocean narodu parł zbałwanione fale, gniotąc się w marmurowych ramionach największego placu Babilonu. Zniesiono pomost męki, że tylko uciekający deptali po krwawych ciałach, przed chwilą pomordowanych skazańców.

Król czekał, jak pies. Błachman mgły zamazał mu źrenice, które stały się jakieś ciche i smutne.

Uciekał motłoch tratując słabszych, blady trwoga, złorzeczący i niepewny. Teraz już nie groził mu dziryt numida, gdy druzgotał kraty królewskich ogrodów, byleby prędzej wyrwać się po za ten plac przerażający.

I nie zostało śladu z pałów, szubienic i stosów, tylko wszędy wały się pomiażdżone członki ludzkie i gdzieniegdzie obcięte głowy patrzyły wywróconemi białkami w spokojny błękit.

Złocisty dwór Nabuchodonozora skrył się wśród skrzydeł rozległego pałacu. Uciekł pierwszy minister dworu i ostatni rab, wszyscy jednakowym smagani lękiem...

Tylko na porfirowych wschodach wspańskiego dworca, kędy czerwieniły się

zdeptane róże, widniał trup młodej dziewczyny, z przegryzionym aż do kręgosłupa karkiem, a przy nim ułożył się w purpurę przybrany moczarz i podniósłszy twarz ku słońcu, jak pies poszczuty, czy wściekły, warczał głucho...

KAMBIZES.

Z przekleństwem na rozwścieczonej twarzy kopnął Kambizes w brzuch wysłańca, który wyrzucił krew ustami i trzasnął łbem o palmowy bal namiotu.

— Psiel!!! Gdzie są niewolnicy etjopsy... gdzie łupy, gdzie zdobycze?...

A „pies“ wydawał ostatnie tchnienie i niepomny, czy go Syn Ormuzda raczy pytaniem zaszczycić, dygotał tylko, jak gdyby bał się nawet skonać w jego oczach.

Kambizes oblał się purpurą... — już zdawało się, że skoczy, aby dodusić ofiarę nagłego gniewu, ale była to tylko chwila, bo wysłaniec rozprężył się i stężał, i znieruchomiał...

— Rzucić go szakalom!!! — zawołał władca, odwracając się ze wstrętem od trupa.

Czterech nieśmiertelnych¹⁾ wywlokło ciało i cisza zaległa namiot.

¹⁾ Przyboczna straż Kambizesa.

— Gdzież są skarby?... te obiecane skarby... — syczał Kambizes, zalegając płową skórę, na której truciznę niemocy oddawna przeżuwał. Wylękła starszyzna nie śmiała podnieść oczów, jeden tylko Krezus, sędziwy starzec, niegdyś pan bogatej Lidji, odważnie stanął przed królem.

— Lwie narodów... — rzekł mocno. — Jesteś wielki, jak wielkim był ojciec twój Cyrus, jesteś uśmiechem Ormuzda i radością gwiazd szczęśliwych... 70 państw bije czołem przed tobą, ale orzeł potęgi władcy persów zginie w skwarze pustyni i nie wróci nigdy na ojczyście, śniegowe szczyty.

— Puszczycu! — warknął Kambizes — gdybyś był magiem, za taką wróżbę język-by ci skonał.

— Powstrzymaj, o wszechwładny, pochód na Etjopję. Wojska twoje umierają z pragnienia i głodu. Coraz liczniejsze głosy szemrzą: „wracać“. Tu czeka nas przegrana, straszna przegrana ze słońcem.

— Kazałem zapalić wszystkie ognie święte i błagać Ormuzda o przymierze.

U wejścia do namiotu stanął młody Darjusz, syn Hystaspa. Jego twarz była szara od gorąca, a oczy płonęły wzburzeniem.

— Mów — rzekł Kambizes, — ale nie kracz, bom w gniewie.

— Jakże mam cię nie smucić, o królu. Głód w wojsku, zapasu nie ma. Ostatni wór daktyłów rozdał Beretas przed wschodem. Nigdzie żadnej oazy, żadnego drzewa. Puste żołądki, to źli doradcy. Ja się ich boję...

Kambizes roześmiał się wzgardliwie.

— Lękasz się buntu może... mało-duszny?... a i ty, Krezusie pobladłeś, jak niewolnik. Niech wojska moje będą spokojne o karm... Jeżeli nie udadzą się łowy na antylopy, każę zabijać codziesiątego żołnierza i nasycę nim każdych dziewięciu.

Przytomni tym słowom zadrżeli... Samowładca Persji nie przebierał w środkach.

— Zwołać magów, niech zapytają gwiazd o przyszłość... — rozkazywał ponuro Kambizes. — Zagrozić wojsku moją niełaską, w razie szemrania. Rozesłać najchytrzejszych, aby szukali źródeł.

Zoroaster jest z nami; jego orzeł i wąż poprowadzi wybrane zastępy.

Rzucił się na posłanie i ruchem ręki oddalił starszyznę.

Czuł ogień pod czaszką. Już trzeci raz srebrnorogi księżyc urastał w pełnię, odkąd persowie brnęli wśród skwarnych piasków. Bezmierna kamienista pustynia zdawała się nigdy nie kończyć. Gdy porzucili ostatni posterunek egipski opuściło ich szczęście. Bogata Etjopja — cel zbrojnej wyprawy przestała już budzić zapal.

Kambizes widział, że gwiazda jego blednie. Po zdobyciu olbrzymiego państwa Faraonów, po wspaniałej koronacji na króla Nilu w Memfis, zapragnął podbić całą Afrykę. Zdetronizowany Psammenit, który, klęcząc, z rodziną błagał o życie, rozplomienił w nim tylko żądę ujarzmania. Egipt był za mały dla wielkich celów straszego zwycięzcy.

Więc, kiedy odbywszy wszystkie już tryumfy i wszystkie odebrawszy hołdy, zjechał do stubramnych Teb i tam w alei Sfinksów składał ofiary Ormuzdowi, doszły go tajemnicze wieści o bogactwach Etjopji. Opowiadano, że nieznany

ten kraj zaludniają czarni ludzie, zbrojni w większe od siebie łuki i strzały długości perskich dziryków. Ich pałace, ze słoniowej kości, ocieniają wspaniałe hebanowe ogrody, wysypane szczerozłotym piaskiem, ich kobiety, dziwnie piękne, o wilgotnych ustach i posępnym spojrzeniu, leżą nagie wśród tych ogrodów, jak czarne perły. Wojownicy polują na goryle, które później, miast niewolników, służą kobietom. Etjopi nie znają wina i nie modlą się do bóstw. Pogarda dla świata mieszka w ich duszach, a męstwo hartuje serca.

Takie chodziły posłuchy o tym tajemniczym kraju i doszły uszów królewskich. Porwał się Kambizes. Odpoczął był już po rozlewie krwi i wraz zamarzył mu się nowy podbój kwitnącego państwa. Rzucił krótki rozkaz: „Zbroić się!!!“ i nim 5 razy słońce przesunęło się za Nil, 800,000 wybornych żołnierzy stanęło gotowych do boju.

Wyruszył... Biegł przed nim Anioł Zwycięstwa i rozsiewał trwogę... Dziś samo jego imię starczało za wojska. Nie przewidywał oporu i jechał, jak tryumfator.

Ale potężny spadkobierca podbojów Cyrusa nie przewidywał przestrzeni. Etjopja leżała w głębi Afryki, hen, ku południowi — kraina nieznana, do której droga wiodła przez ocean piasku. Żywy ogień lał się z nieba we dnie, a nocą płótna namiotów okrywał szron. Niestłyszane dotąd szemranie rozległo się po szeregach. Żołnierz wiądnął w swym miedzianym pancerzu, jak kwiat... kapryśną ręką zasiany na skwaronym wertepie.

I uczuł Kambizes niepowodzenie — szyderczy uśmiech losu. Jego niezwykłe szeregi ginęły bez pokarmu, próżno szukając wrogów. Walczono z głodem i upałem, a na to miecze perskie były za słabe.

Wściekłość chwyciła króla za włosy, jak niewidzialna, potworna ręka. Zerwał się z posłania, by nie zdusić się jedwabnym sznurem.

Jego purpurowy namiot stał na wzniesieniu, ogromniejszy od innych, do czerwonego ptaka podobny. Ztąd wzrok obejmował cały obóz perski. Dziesiątki tysięcy mniejszych namiotów zajęło niezmierną przestrzeń, ukrywając pod cieniem wyczerpane hufce. Pochód za-

trzymał się na dwie doby dla odpoczynku, a zarazem dla łowów. Najbliższej nocy oręż żołnierza, miast etjopom, miał zagrozić spokojowi zwierząt.

Bezlitosne słońce lało na ziemię żywy ogień, a obóz milczał, jak powalony gorączką, kolos.

Król skrzyżował ręce na piersiach i przygryzł wargi. Głodny i spragniony wojownik, w rozpalonym szyszaku wydał mu się zdolnym do wszystkiego.

— A jednak nie cofnę się... Niech odpoczną i ruszymy dalej.

.

Wielkie łowy, urządzone z rozkazu króla, trwały całą noc i nie przyniosły żadnej zdobyczy. Czujny zwierz oddawna porzucił legowiska i zaszył się gdzieś, w niewiadome puszcze.

Kambizes wraz z kilku ulubieńcami siedział właśnie przed pełnym dzbanem, gdy mu młody Darjusz smutną wiadomość przyniósł. Usłyszawszy ją król wpadł we wściekłość, przewrócił stół, powylewał wino i kazał obedrzeć ze skóry tego, co łowom przewodził.

Poczem ochłonawszy zwrócił się do Krezusa.

— Idź stary druhu i wezwij magów
Oni czytają w gwiazdach, jak w otwar-
tej księdze. Niech radzą...

Weszło dziesięciu długobrodych mę-
żów, w wysokich tyarach i luźnych rę-
kawach u szaty. Ich płaszcze, z naj-
kosztowniejszego egipskiego byssu, zdo-
biły ciężkie złote frendzle. Na szyi każ-
dego zwieszał się łańcuch, obciążony
amuletami, przeciw odwiecznej złości
Arymana.

— Mówcie, co powiedziały gwiazdy,
gdy Wielki Ormuzd ukrył się w błęki-
tach?... — spytał ponuro Kambizes.

A wówczas wystąpił najstarszy mag,
olbrzymi starzec, w którego orzecho-
wych żrenicach drzemała głęboka mąd-
rość Zoroastra. Wsparł się na wyso-
kiem berle i podniósłszy do góry pra-
wicę rzekł wolno:

— My czciciele ognia, na rozkaz twój
o królu królów zwołani, my, przed któ-
rych wzrokiem niemasz tajemnic, stoimy
oto wobec ciebie... a ty sam czytaj od-
powiedź z naszych twarzy. Gwiazdy nie
mylą się... i ostrzegają cię, samowładny...
Straszna jest potęga zła Arymana, ale
ponad nim jest wielki Ormuzd i on, przeż

usta moje, przez nieomyślność mowy swego sługi, woła do ciebie Panie: „Wracaj!!!“

Król zerwał się ze srebrnego tronu. Twarz miał blado-siną, a w oczach przelewało mu się szaleństwo. Był pijany. Porwał ciężki, obosieczny miecz, który wisiał na miedzianej tarczy. Chlusnął wrzask. Jednym zamachem rozciął król na dwoje stojącego u wrót niewolnika.

Wszystkie twarze zbladły i mimowiednie przymknęły się powieki. Stała kamienna cisza.

Tak Kambizes uspakajał swą wściekłość...

II.

Nadeszła noc. Wielki, zielonawy księżyc wynurzył się z czarnej pomroki i pozapalał drżące błyski w dzirytach perskiego wojska.

Król nie mógł zasnąć. Jak dziki zwierz rzucał się po namiocie, napęlniając łękiem serca dworaków. Czuł w piersiach kolosa niemocy, który zdawał się je rozsadzać.

Głód trawił olbrzymie zastępy. Osiem-

kroćstutysiężne wojsko szybko pochłonięło niezasycane przez nic zapasy, zjadło wszystkie konie i, nie mogąc znaleźć źródeł, poszukało wody w siedmiu żołądkach wielbłądów. Król wzdrygnął się. Był właśnie po obfitej wieczerzy i czuł skłonność do oddania wypitego wina.

— Przekleństwo na tę noc... — syknął. — W Suzie bywało lepiej.

Przypomniała mu się ojczyzna. Już drugi rok upłynął, kiedy, żądny podbojów, opuścił Persję. Zostawił śniegi na szczytach gór małomedyjskich, ale w Ekbatanie kwitły już fijołki. Jego wiszące ogrody, piękniejsze niż babilońskie, szły w dwudziestu tarasach, na pół mili szerokich, aż do samego podnóża. Pod baldachimem z najkosztowniejszych róż Damaszku panował spokojnie. Cała Azja była przed nim czołem, jako przed wielkim.

Zgrzytnął zębami i wyszedł z namiotu.

Niezmierne jego wojska milczały po dniu znojnym. Jak wzrokiem sięgnąć czerwieniły się ognie. Straż podawała sobie hasła, które smutnem echem biegły pod stopy Kambizesa.

Znajbliższego namiotu dochodził dźwięk cytry. Jakiś głos nucił sennie. Król zbliżył się na palcach i słuchał:

„Hen, leży Persepolis w żyznej, kwiecistej dolinie...

„Złote oko Ormuzda patrzy nań z dobrym uśmiechem,

„Tam płoną ognie święte, których pilnują Magowie,

„Pałace bazaltowe milczą wśród cudnych ogrodów...

„To wielki król Kambizes zbudował gród [ogromny...

„Hen, leży Persepolis, dalekie ojczyste [miasto.

*

*

„A chodził król na wojnę, z Cyrusa groźnym orężem,

„Podbijał kraje ludne i łupił skarbcę [bogate,

„Zakrwawił wody Nilu i piramidy [raził,

„Warowne Memfis zdobył, a Faraona [wziął w dyby,

„Mężom obcinał ręce, niewiasty brał do
[łożnicy,
„A chodził król na wojnę, monarcha
[Persji dalekiej...

* * *

Kambizes słuchał ciekawie, a pieśń
brzmiała dalej:

„Niesyty sławy bojów ucztował król
[ponad Nilem,
„I z córką Faraona zubożyła mu
[rozkosz...
„Etjopów panstwo ludne kusiło wielkie-
[go króla,
„Jak jego ojciec, Cyrus, nie znosił rdzy
[na orężu...
„Uzbroił więc swe wojska, by nową zdo-
[być satrapję...
„Niesyty sławy bojów był pyszny wład-
[ca Kambizes.

* * *

„Przez skwar pustynnych piasków król
[wojska swoje prowadzi...
„Etjopji kraj daleki gdzieś za górami
[czarnymi...

- „Żołnierze giną od znoju, a głód im szar-
[pie wnętrzości...
„Wrogowie, szydząc z persów, wśród
[chłodnych dolin ucztują...
„Słońce wycedza siły, bo cieniu niebo
[nie ześle,
„Przez skwar pustynnych piasków śmierć
[idzie ku wojskom króla...

* *

Pieśń zcichła, a Kambizes, poruszony do głębi, dławił wściekłość, budzącą się w nim, jak płomień. Tam, za błękitną kotarą, nudziły się jego żony, skracając sobie długą, jałową noc śpiewem o czynach wielkiego małżonka. Ta pieśń tęskna, urodzona na pustyni, z wyciągniętymi do dalekiej Persji rękoma, szydziła bezwiednie z niemocy królewskiej. Szydowała... Wstał gniew w panu. Uczuł nagle straszliwą ochotę, by porwać pochodnię i podpalić namiot wraz z pięknookimi kobietami.

Wstrzymał go gwar. Zmarszczył brwi. Ktoś nadchodził od obozu. Młody Darjusz, Krezus i Praksesp szli szybko na czele kilkunastu ludzi.

— Jakie wieści?... — rzucił gniewnie Kambizes.

Przybyli stanęli w milczeniu. Ze spojrzeń ich wychylał się blady cień trwogi. Nie śmieli mówić.

— Kto są ci ludzie, których mi przywiedliście?... — rzucił ponownie władca, ściskając rękojeść miecza.

Darjusz wystąpił przed króla.

— Panie narodów... Oto starszyzna z wyprawy do oazy Ammon. Szli w głodzie i znoju przez dni dwadzieścia. Całą libijską pustynię zmierz yli...

Urwał... — twarz króla była straszna.

— I co mi przynieśli? — spytał powoli, z okropnym spokojem Kambizes.

Przybyli upadli na twarz.

— Wybacz, o potężny, przeklętym językiem naszym prawdomówność!!! — wołali klęcząc. — Wojska twoje nie doszły do Ammonu. Zagroził im drogę upał, straszny żar, który ognistym deszczem lał się na głowy walecznych. Ludzie ginęli, jak muchy, a gorący piasek zasypywał im gardła... 20,000 trupów pożarła pustynia, niezmazanych jedną kroplą krwi. Strzały Ormuzda zabijały nie raniąc...

Kambizes padł na ziemię i straszny płacz wstrząsnął jego ciałem. Szarpał czerwoną szatę, wrywając sobie włosy. Obecni zczernieli od lęku i wzruszenia... Król rozpaczał, jak ostatni niewolnik i bił głową o kamienie.

Wstał... Powoli i spokojnie... Oczy miał suche, nieruchomo patrzące. Bładość ogarnęła mu twarz siną chmurą.

— Straży!!!

Wpadło kilkunastu uzbrojonych medów z wydobytymi mieczami.

— Wziąć ich!!! — rzucił król, wskazując na klęczące postacie.

Darjusz, Krezus i Praksesp odsunęli się w pomieszczeniu, a olbrzymi medowie podnieśli za włosy klęczących i czekali dalszych rozkazów.

Kambizes dosiadł białego ogiera i powiodł ich za sobą. Sunęli w milczeniu szerokim gościńcem, który ciągnął się przez cały olbrzymi obóz perski. Wojska pogrążone w niezdrowym śnie dyszały ciężką pierśią.

Czynił się świt, gdy znaleźli się wśród pustyni. Kambizes osadził konia i, wskazawszy Medom dygoczące ofiary, rzekł obojętnie:

— Zakopać ich w ziemię po szyje...

Rozkaz spełniono bez słowa. Szerokimi mieczami wyrzucano ziemię z dołów coraz głębszych. Poczem wepchnięto do nich związanych skazańców i zasypiano. Nie upłynęła chwila i dwanaście strasznych, oniemiałych głów sterczało tuż ponad ziemią.

Marmurowa twarz Kambizesa rozkurczyła się straszonym uśmiechem.

Patrzył długo, długo... na te nieruchome żywe głowy, jakgdyby chciał wyssać z nich najokropniejszą rozpacz i upić się nią do syta.

Poczem zsiadł wolno z konia i zbliżył się do pierwszej głowy. Pers, niestary jeszcze, jeden ze znakomitych dostojników dworskich, wznosił błagalne oczy ku władcy i milczeniem żebrał o litość. Kambizes spoglądał uważnie. Nagle podniósł obutą żelazem nogę i kopnął nią z całej siły głowę w zęby. Buchnął wrzask i purpurowa fontanna żygnęła na piasek.

Król szedł powoli do każdej głowy i bez słowa dawał jej straszne, miażdżące kopnięcia. Dwanaście wrzasków prze-

szło ciszę pustyni. Dwanaście jezierek krwi zaczerwieniło suche piaszczyste łono.

Twarz króla była spokojna, gdy dosiadł konia. Skinął na medów i odjechał w stronę obozu.

A tam, na niebie, wschodziło już słońce, złowrogie słońce pustyni. Stańło w wysokościach promienne i złotą zrenicą spojrzało w wywrócone białka nieruchomych krwawych głów...

.

Wojska perskie sunęły w nurzającym pochodzie przez głuchą pustynię. Czasem zatrzymywano się na dni parę, czasem toczono małe boje z łupieżskimi hordami dzikich, niewiadomych plemion. Po niefortunnej wyprawie przeciw Etopji wracał Kambizes do Egiptu.

Ponury, jak upiór, jechał król na bojowym wozie. Nikt ze starszyny nie śmiał przemówić do władcy. Nawet groźne wieści o bracie królewskim, Smerdyisie, który pono usiłował zawładnąć całą Persją, skonały na ustach zauszniaków.

Głód ścigał ogromne zastępy „pięćdziesięciu czterech narodów“, a czasem nocą, w wichrze pustyni śmiała się draż-

niąca przechwałka skarbów etjopskich. Dopiero stanąwszy nad Nilem uczuł się znów Kambizes władcą świata. Podbici egipcjanie chcąc nie chcąc wysypali mu drogę płatkami lotosu.

Nad rankiem zbliżył się król do Memfis. Budziło się właśnie słońce, a długoszyjne ibisy niosły lekko swe różowe ciało. Podbity Egipt pasował usta do śladów stóp królewskich.

Olbrzymie miasto wyległo, by powitać pana. Sypały się kwiaty i powiewały różnobarwne chusty. Ale twarz króla była okrutna. Czał się w niej zwierwskiełości, który czekał ofiary.

Zastępy perskie sunęły najszerszą ulicą, wśród alei Sfinksów. Wachlowały je palmy, bujnie strzelające w niebo. Po bokach milczał chłód świątyń z czerwonego kamienia. A w dole pienił się tłum egipski, osłupieniem żrenic przyglądając się wojskom Kambizesa.

Bojowy wóz królewski pstrzył się już od rozkwitłego kwiecia, które wyhodowała niewola. Padła gałązka lotosu zręcznym miotem rzucona wprost na pierś królewską. Buchnął śmiech, przeciągły śmiech szydu. Jakgdyby przedrzeźniał

smutny odwrót persów z dalekiej, niezwyciężonej Etjopji.

Zmarszczył brwi władca i twarz jego zciemniała gniewem. Kto śmiał zadrzeć, jaki pies pokusił się o sąd nad jego czynami? Ale znów ulewa kwiatów osypała wóz bojowy, zaś śmiech dzwonił przeciągle i wzgardliwie, przedrzeźniający niedościgłe marzenia perskiego mocarza.

A oto nagle przeciw królewskiemu pochodowi wypłynął szeroką aleją olbrzymi tłum egipcjan. Dzień ów był wielkiem świętem dla całego Memfis. Znaleziono nowego Apisa i radość napelniła serca wiernych.

Bożka prowadzono wśród śpiewu i dźwięku cytr. Wspaniały, białogwiedźny byk, ze złożonymi rogami, kroczył majestatycznie, jakgdyby w poczuciu swej świętości. Otaczał go wieniec kapłanów, wysokich, sępiookich mężów, w długich, białych szatach. A za nimi piał się tłum rozśpiewany, zaś jego twarze świeciły uroczystem szczęściem.

Zbiegły się krzaczaste brwi Kambize-sa. Piersi jego rozpierał wielkolud obrażonej dumy, który palił żywym ogniem

ambicje zwycięzkie. Stał w gniewie na widok radości egipcjan.

— Psy... cieszą się z mego odwrotu...
O Zoroastrze!!! Niech hyeny pożrą
wnętrznosci tych gadów!!!

I wraz zapaliła się jego wściekłość płomieniem. Kapłani egipscy śpiewali wielkimi głosami hymny na cześć Apisa; hymny te szły pod niebo, rozlewając się niezmierną falą nad całym Memfis. A w nich przebrzmiewał jakgdyby szyd nad klęską persów.

Król rzucił się wozem wprost w tłum. Kapłani odskoczyli przerażeni. Miecz Kambizesa utonął w karku świętego byka, a krew jego spryskała twarze wiernych. Zwalił się Apis, jak ciężki kłoc, szerząc straszliwe zamieszanie i wrzaski.

— Chwytać ich!!! Chwytać te golone łby przekłete!!! — charczało w gardle Kambizesa.

Rzucili się zbrojni „nieśmiertelni“ i zwlekli białoodzianych starców pod nogi królewskie.

Czterdziestu kapłanów obnażono wobec całego Memfis. Egipcjanie skamie-

nieli w zgrozie, a on, Kambizes, zeszedł z bojowego wozu i, dławiąc straszliwego zwierza wściekłości, skrzyżował ramiona na piersiach i rzucił okropny rozkaz:

— Rózeg!!!

HEREDIS.

... **I** sama nie wiem, jak dawno żyję tu zamknięta... Słońce, które, tam, z za gór, się wyłania, nie przynosi mi nic... prócz blasków. Szmaragdowa toń morza upaja piesszczotą fal i mówi o tęsknocie. Czarne skręty mirtów pną się po marmurowych kolumnach i czepiają się mych szat... Chodzę wzdłuż alej nieskończonych ogrodów, liczę róże, a później obrywam je z płatków. Czasem ocale najpiękniejszą; wpinam ją we włosy i noszę, póki nie zwiędnie. Jestem okrutną dla kwiatów. Lubię kłaść się na kobiercach, usypanych różami i odurzać się wonią. Gmiotę je ciężarem młodego ciała i marzę półsennie. Zaś wśród delikatnych pączków nie przeczuwam zaczajonego kolca. Jeden z nich uciał mnie w szyję, aż pokazała się krew... Z gniewem szukam go, by skruszyć i cisnąć do ognia, ukrył się jednak pod kwietną powodzią. Wówczas płaczę i dżgam kobierce sztyletem.

Mam pachnące szaty z egipskiego lazuru, mam lżejsze, niż słoneczny obłok, oranżowe tkaniny, skrzące się łzami dżamentów. Lecz nie wdziewam strojów, bo mi krępują ruchy. Wolę pisać naga, przed jasną taflą zwierciadła, w szafirowej zmroce. Wzrok mój ślizga się z miłością po własnem odbiciu, pieści bogactwo nierozkwitłych kształtów i nasycą się czarem. Piękniejsza jestem od Heleny i Frine. Usta moje są gorące, jak krew, słodkie, jak dojrzałe jagody. Stopy me jaśniejsze od stóp płomiennokich cór Kolchidy, dłonie pachnące migdałem i piesszczotą. Obce mi są uściski kochanka, obce jego ramiona silne i niecierpliwe. Posiadam w źrenicach tę niewymowną słodycz, która obiecuje senne upojenia, lecz i burzę zmysłów. Gdy wzniosę ręce i rozpuszczę włosy... okrywam się nimi, by płaszczem. Wtedy smuci się zwierciadło, że nie widzi piersi i bioder. Ja się też smucę, zawiąję włosy koło szyi, idę do srebrnej tafli i całuję się prosto w usta...

Raz usiadłam na krawędzi cysterny i zapatrzyłam się w fontannę. Drżące strumienie wody rozbijały się z jękiem

o chłodny malachit, łkając boleśnie. W basenie grały światła i kolory. Wyłowiałam różową konchę, których tu wiele napuszczono z pobliskiego morza. W muszli tej znalazłam umarłe perły. Chciałam je zabrać, lecz zrobiło mi się żal... Niech śpią cicho w kolebce... Przeliczyłam tylko, a później rzuciłam do wody.

Warkocze fontanny spętały się z moimi kędziorami. Srebrne odpryski skaczą do szyi, zostawiając na niej baśń promienną. Udjamencają me ciało, aż jaśnieję od klejnotów. Przechylam się przez balustradę i wpadam w nurty. Cała już jestem w wodzie, nie widać mnie, chyba kawałek piersi. I zdaje mi się, że miast nóg mam zielonawy ogon, a między palcami—pletwy. Z wierzchu pokrywa mnie łuska, włosy zaś zdobi gałązka koralu. Malachitowa krawędź cysterny, opasując koliskiem basen, rozszerza się gwałtownie, woda wylewa się przez brzegi i topi pełne róż ogrody. Nikną stuletnie drzewa i białe marmury pałacu. Spienione odmęty gnają mnie przed siebie, ugrzywione kryształem pian. Ziemia przestała istnieć, wszędzie tylko fale,

fale... A ja, Nerejda, igram z niemi, pływam i szaleję, wolna, jak one, i, jak one, nieuchwytna...

Budzę się z marzeń i przecieram oczy. Słońce zachodzi, żegnając świat ostatnim, gorącym pocałunkiem. Czarne sylwetki palm bramują ciemną koronką liljowy strop nieba. Cisza ogromna kołysze przestworza, tylko srebrny źródło fontanny łka, jak dawniej, boleśnie...

I jakiś bezmierny smutek siada mi na piersiach, a żal dławi gardło... Z oczów spływają piekące łzy... Nie chcę takich snów, bo zbyt straszne jest przebudzenie. Zda się... słyszę złowrogi pobrzęk kajdan, krępujących dłonie. Zimne okowy ciężą tym mocniej, tym rozpaczniej... A z za drzew, podobne niepowołanym duchem, czają się dawne wspomnienia. Przychodzą długim, milczącym korowodem i topią we mnie znękaną oczy. Odzywa się wtedy wszystko to, co już przebolełam. Pachną róże Cypru, stada białorunych owiec błędzą wśród szmaragdu pól... Migdały, osypane różowem kwieciem, kołyszą się lekko... Cicho w koło, słodko... Aż nagle, jakieś mroczne postacie wstają, jak z pod ziemi i chwy-

tają mnie za ręce. Chcę wołać o ratunek, lecz żelazny uścisk zabija krzyk. Czuję, że mnie wiążą dziko, wściekle, aż krwawią się sznury. Porwali — Ponięśli — ...Jak mi smutno...

.

Czarni rzezańcy dźwigają poświęcane kadzielnice, o starożytniej, wysmukłej formie. Widzę ich szkarłatne szaty i pawie pióra w trefionych włosach. Klękawszy na ziemi całują końce upierścienionych palców mych nóg. Lecz ja, ulubienica, nienawidzę ich. Patrzę z pogardą, gdy w takt niewidzialnej muzyki sypią listki szafranu na tkaniny ateńskie. Są echem rozkazów, które rzucam... dumna. Boją się chłosty, lecz strzegą, jak cienie nieodstępne.

Mam na sobie liljową gazę, usianą deszczem gwiazdzistym; włosy spięłam nisko i rozjaśniłam przebłyskami złotego pudru. W potrójnych naramiennikach snią zgaszone opale. Rękę moje błądzą między fałdami ciężkiej, kwiecistej kotary, zwieszającej się u wezglowia. Czekam na Władcę i Pana...

Żrenice płoną ciekawością, a piersi wzbierają, gdy myślę o nim. Nie znam

jeszcze przyszłego męża, więc mu nie mogę złorzeczyć. Gotowam pchnąć go sztyletem, a może będę go kochać... Śni mi się czasem jakiś... do zjawiska podobny wojownik, skrzydlaty i promienisty. Przeciagam się leniwie i uśmiecham do moich marzeń.

Niewolnicy układają drwa cedrowe, na które sypią myrrę. Sinawy dym pełza leniwie i otula mnie tajemną mgłą, Odchodzę wzrokiem od granitowych filarów i słucham pieśni morza. Myślę o miłości i śmierci. Zdaje mi się, że z łona srebrnopiennych fal wyłania się jakaś biała postać i chce, bym szła ku niej. Ukazuje coś, czego nie dostrzegam, a później wzdycha. Opar kadzidła napęlnia całą komnatę i zakrywa tę postać. Ginie widok na morze i moje odbicie w zwierciadle. Wtedy mam wrażenie, że już umarłam, lecz trwa ono krótko, zrywam się przerażona, zalewam ogień i chcę uciec z dławiącej wonnościami sypialni.

U wnijscia zastępuje mi ktoś drogę... To Pan mój i Małzonek. Nie widział mnie, więc biegnę do łóża, chylę się na jedwabiste puchy i przeginam w drażniącym skrócie. Jakim on jest ten... nie-

znany? Serce bije wielkim strachem i wielką ciekawością.

Zbliża się... Wstrzymuję oddech i oczy zakrywam dłońmi. Niech je sam odsłoni. Czuję dotknięcie jego palców, lecz jakieś drżące i słabe... Wówczas podnoszę się,—cudna, rozśmiana Heredis i... źrenice rozszerza upiór oszalałego bólu... Przedemną stoi zgarbiona mumia, o żółtawej twarzy i śliniących się wargach. Szepce coś bezdźwięcznym głosem i obejmuje starczemi ramiony...

ALEKSANDER WIELKI.

I.

Dęły straszliwe wichry od północy Baktryi i całun śniegu pokrył już skaliste ugory wśród trzęsawisk, w kraju Paraitakenów. Zima uczyniła się sroga i zawzięta i tylko marzenia o słonecznej Pelli krzepiły lodem ścięte siły macedońskie.

Trzeci miesiąc opierała się twierdza Oxyartesa falangom Aleksandra. Warowny zamek, piętrzący się dumnie na niebotycznych skałach, zdawał się szydzić z potęgi wielkiego zdobywcy. Hyparcha baktryjski, przywoławszy na pomoc Ahuramazdę i wykonawcę woli jego Wohu-mano, „dobrą myśl“ postanowił drogo sprzedać swą wolność.

Próżno szturmowało wojsko macedońskie. Załoga twierdzy posyłała im codzienną, jednakową odpowiedź, krwawo napisaną na ostrzach strzał. Ta nieliczna garstka obrońców starła rumieniec wsty-

du z oblicza całej Azji, korzącej się przed synem Filipa.

Aleksander, po ukrzyżowaniu kata Darjuszowego Bessosa w Ekbatanie, któremu, jako królobójcy, nos i uszy uprzednio obciąć kazał, nie zaległ był gnuśnie pachnącego łoża na zamku Zarjaspy. Pożerał go płomień nowych zwycięstw, nowych tryumfów. Niespokojny władca zgromił wołające o powrót wojsko i rzucawszy wyniośle wodzom: „miecze wasze spoczywają w pochwie moich rozkazów“... oblegał pierwszą z brzegu napotkaną twierdzę baktryjską.

Daremnie starszyzna królewska, a na czele jej Parmenion, Filotas i Kleitos, uśmiechali się do nadziei powrotu. Daleka Macedonja stała się marzeniem, wobec niezaspokojonego głodu podbojów Aleksandrowych. Poprostu nikt nie wierzył, by młody zdobywca nasycił się wreszcie krwawem żerowiskiem wojny. Był on postrachem tych, w których kościach rozwieliżniło się lenistwo.

A jednak zamek Oxyartesa oparł się Macedończykowi. Królujący z wyżyn ubielonych śniegiem skał, urągał dotychczasowemu powodzeniom „wojsk nad

wojska". Bo czemuże była garść załogi baktryjskiej wobec ujarzmionych ludów Azji? Czymże był sam hypparcha przy Mitrze Darjusza Kodomannosa, którą jednym zamachem strącił Aleksander z nad jego hardego czoła... Jakaż potęga mogła się dziś oprzeć zdobywcy, któremu nie ostały się: Sardas, Tyr, Gaza, Babilon, Susa, Persepolis i Pazargada...

Zdumiewał się tedy Aleksander, widząc zaciekłość Oxyartesa. Jakto jemu... przeciwstawia się jeden baktryjski szaleniec, nieświadom chyba, że kopyta Bucyfała¹⁾ stratowały już połowę świata! Jemu, który zrównał z ziemią Teby, który między Gaugamelą i Arabelą rozbił w puch potomka Achamenidów, a Sizygambis i piękną Stateirę wziął do niewoli, jemu, prawowitemu następcy Faraonów, „synowi Zeusa“ i „synowi Ra“!!! Jakto?... Jeden dumny hypparcha zatnie się w uporze przeciw sile Macedonji?... Aleksander poprostu nie wierzył rzeczywistości. Dotychczas szedł, jak niszczący płomień, a gdzie stanął urastały Aleksandrje. Teraz zaskoczyła go okropna zi-

¹⁾ Rumak Aleksandra.

ma w dalekiej Baktryi i kostniały członki wojowników pod zsiekanymi orężem pancierzami.

Przypominał sobie młody władca bój nad Granikiem i zwyciężkie żniwo gaudgamelskie. Tam przecie walczyły wszystkie siły perskie, — cały świat azjatycki stanął do krwawej rozprawy. Tam Persowie w spiżu, zbrojni w łuki i włócznie, szli obok długoszatych Medów o czerwonych tarczach i wygiętych mieczach. Żołnierz Suzyany, strojny turbanem, potykał się przy boku Chalibijczyka, którego głowę zdołały rogi byków. Pstre płaszcze bityńskie i lisie futra ich wojowników mieszały się z pułkami Assyryjskimi, co ponad dzidę przekładały okrągłą powęzę, z grubej skóry, sztylet i maczugę. Ludy Afryki, mieszkańcy z nad Indu, Zogdianie, Partowie, oraz nieustraszeni Scytowie, zbrojni w topory, wspomagali małoazjatyckie hordy, libijczyków i synów Lidji, osłoniętych wąską tarczą. Mieszkańcy Hindu, przyodzianni bawełną, szyli zatrutemi strzałami, podpierani zaciężnem wojskiem nubijskich łuczników, których tatuowane twarze, malowniczo odbijały od skór lampar-

cich. Mieszkańcy czarnych Indji przystroili głowy skórą z łba końskiego; ciągnęli też Arabowie i celni w rzucie pugiuałem Afganowie. Ciżba Sarangów, w barwnych strojach, kroczyła za Kaspijczykami, walczącymi ciężkim mieczem. A dalej niewyciężona jazda perska, cała żelazna, konie i ludzie... Czasem tylko zagra barwa purpury wodza i złota łuska pancerza. Dalej jazda Zagardów, zbrojna w arkany, jazda Medów i Baktarów suzyańskich, Arabowie na wielbłądach, wozy perskie libijskie, lidyjskie, indyjskie, słowem cała Azja... przeciwko Macedonji. I rozbił Aleksander tę straszna nawałę i choć zawrzała walka 1-go przeciw 20-stu, falanga jego starła na proch zastępy Darjusza, a Pers, blady przerażeniem, uciekł w głąb Iranu. Teraz zaś Oxyartes... Oxyartes, jeden nędzny hypparcha stawił Aleksandrowi śmiałe czoło. Uczeń Arystotelesa kierował sam oblężeniem. Wojska jego, ujęły warownie w żelazny oków, który zwężał się z dniem każdym. Zaś straszliwy mróz paraliżował siły macedończyków i otwierał skórę na ich twarzach. Ten sam żołnierz, który po długich bojach grzał się

rozkosznie przy pożarze pałacu królewskiego w Persepolis, kostniał teraz z zimna i przeklinał upór Oxartesa. „Czyż skarb Darjusza (60,000 talentów) nie starczy Aleksandrowi na lepsze życie, niż tłuczenie się po lodozwałach Baktryi?” myśleli sterani wojownicy.

Ale Aleksander zaciął się, a gdy co postanowił, nie było mowy, by cofnąć jego zamiar. Zaciął się i wreszcie, po dwóch miesiącach utarczek, zdobył warownię.

300-stu najdzielniejszych macedończyków, niepomyślnych okropnego niebezpieczeństwa wśród lodów, wdarło się na szczyt zamkowy i uderzyło z góry. Tego nie przewidział waleczny hypparcha. Podał się i zgiął hardą głowę do nóg zwycięzcy.

Aleksander, zgłodniały tryumfu, nasycił się teraz jego żerem. Wkroczywszy do zamku, kazał rozświetlić wszystkie komnaty i zasiadłszy srebrne krzesło Oxyartesa, zaczął przyjmować hołdy. Jego zaś samego wtrącił do podziemi i skuł żelazem.

Najpiękniejsze córki magnatów baktryjskich schyliły się do nóg macedoń-

czyka i zamiotły mu drogę pachnącymi splotami włosów. Ale duma Aleksandra spała się już wszelkimi zaszczyty ziemi, więc obojętnie uśmiechał się na widok zgiętych pleców czcicielek Ahuramazdy. Wydał pogardliwie dolną wargę i tak, jak był, w hełmie, zbroi i żelaznych butach, bardziej żołnierza niż króla przypominający, drzemał, po trudach, na krzesle hypparchy, usypiany muzyką pochlebstwa...

Aż nagle wszedł szybkim krokiem Kleitos, ten, który nad Granikiem królowi życie ocalił i szepnął mu coś do ucha. Zerwał się Aleksander ze srebrnego krzesła. Zmarszczył brwi i gniew w nim zawrzał.

Tam, na najwyższych piętrach zamku, w tajemniczej komnacie zamknęła się jakaś kobieta i nie chciała bić pokłonów zdobywcy.

— Kleitos!!! bierz 10-ciu żołnierzy i ruszaj za mną!!!—rozkazał.

Gdy znaleźli się przed zaryglowanymi drzwiami, Macedończyk kopnął je żelaznym butem i zawołał donośnie:

— Aleksander, syn Filipa, pogromca Darjusza i Oxyartesa, rozkazuje ci mało-

duszną branko, byś wyszła i do nóg mu się zgięła!!!

A na to rozległ się dźwięczny, młody głos:

— Jeżeliś pogromca Achamenidów... pogrom zaporę rygli, jako że nie chce mi się z łoża podnosić, by wolna ci stała droga...

Tych słów tylko trzeba było gwałtowności Aleksandra. On, który nie zaważał się rozciąć węzeł gordyjski i tym razem dał się unieść pierwszemu porywowi. W jednej chwili żołnierze wyważyli drzwi i władca wpadł, jak burza do komnaty.

Ale na samym progu oniemiał i podziw odebrał mu mowę.

Syn Filipa, który zdołał już być nasyć się wszelkiem bogactwem Persji, Egiptu i Babilonu, świadom zbytków, jakimi otaczał się Darjusz na swym dworze, nigdy jeszcze nie stanął w obliczu takiego przepychu. Wspaniała, czterdziestokolumnowa sala z kości słoniowej, tonęła w purpurze najcudniejszych róż Oxosu, choć śniegi dawno okrywały góry baktryjskie. Bezcenne suzyańskie kobierce, wisiały na ścianach, obok wzo-

rzystych tkanin z Kaszemiru; lazur makat kabulskich, cudnie grał przy matowem srebrze osłon Pazargady. Kapitele kolumn, utworzone z połączenia dwóch tułowiów byczych, wspierały emaliowany pułap, na którym w formie fryzu wyobrażone były sceny z życia Zaratustry, jego odwiedziny w Balk króla Baktrji, Hystaspesa, i zebranie 60-ciu mędrców, wysłuchujących ksiąg Awesty. Siedmogni Ameszaspenty płonęło w miedzianych naczyniach, wysadzanych czarnymi perłami. Wielkie marmurowe posagi skrzydlatych lwów milczały przy ścianach, a grzywy ich były z najcenniejszych kruszców dalekiego Pëndżabu. Odurzająca woń arabskich olejków unosiła się po komnacie, pomieszana z zapachem nieznanych kwiatów.

W rogu, pod djamentowym baldachimem, stało szerokie szczerozłote łożo, podtrzymywane przez bycze łby. Na niem, niedbale przegięta, spoczywała cudnie piękna kobieta i bawiła się gałęzią czerwonych róż. Jej szata, z baratyjskiego muślinu, uszyta medyjskim krojem, podpięta u boku, odsłaniała nagość biodra i lewej piersi. Wielkie, zamorskie tur-

kusy, patrzyły z bransolet i pierścieni, jak martwe, niebieskie oczy. Kobieta nie drgnęła na widok Aleksandra, poprawiła tylko szmaragdowy djadem, przypominający kształt tyary i zdawała się patrzeć w przestrzeń..

Władca macedoński, którego zrazu olśnił niezwykły przepych, szybko odzyskał równowagę ducha i wraz ogarnął go ponowny gniew, wobec dumy tej kobiety. Podbiegł więc ku łożu i brutalnie, po żołniersku szarpnąwszy ją za ramię, rzekł, marszcząc brwi:

— Kto jesteś, że nie przyszedłś na klęczkach bić pokłonów panu twojemu, Aleksandrowi?...

— Nie masz nademną pana, prócz Ahuramazdy... Albowiem mówisz do Roxany, córę Oxyartesa.

Oniemiał Aleksander. Podobnej urody nie widział nigdy. Wszakże małżonka Darjusza, Stateira, była perłą całej Azji. Wziął ją spokojnie do niewoli i nie zaznał dreszczu pożądania. Kleopatra, najcudniejsza miłośnica Filipa, a jego macocha, nie umiała swą urodą wyblagać łaski. Teraz, pierwszy raz wobec Roxany, młody zwycięzca poczuł

ogień w piersi. Do tej pory nie skosztował miłości i w kobiecie widział tylko chwilową rozkosz. Brał niecierpliwie krasne córki Babilonu i Persepolis, a zawsze znudzony opuszczał ich świetlice.

Wszelako duma tej kobiety ubliżała dumie Macedończyka. Jakto, jedna baktryjka nie zamiecie mu włosami ziemi i przyjmuje go... leżąc, podczas gdy on stoi?... Wydał więc pogardliwie wargę, co zwykł był czynić i rzekł groźnie:

— Kimkolwiek jesteś... uczcij pana twego, który jako „syn Jowisza“ stracił ze szczytów perskiego Ormuzda.

Roxana zaśmiała się beztrośnie i zbliżyła różę do nozdrzy.

— Jużem cię uczciła. Jesteś w sypialni, wobec półnagości mej — żywy świadek. Czego chcesz więcej?... Zali mam ustąpić ci kobiecego łoża, dać kwiat w rękę, a sama przywdziać hełm twój i pancierz?... Wielki zdobywco... Przywykłeś do rozkazywania wojsku, ale nie umiesz być królem wobec niewiasty.

— Jakże więc?—rzekł zmieszany Aleksander — mam że klękać przed każdą piękną niewolnicą i składać przynależne hołdy jej urodzie? Nie przeczę, żeś peł-

na czaru, ale strzeż się, bo Filotas skarży się na udar do głowy i łącznie mogą cię jego rozkazom poddać.

— Jakież to władca dostarcza kochanki swoim wodzom? Ty zaś nie głosz mi niewolnicą, abys sam nie wpadł w niewolę krasy mej, Aleksandrze.

I podniosła się Roxana ze złocistego łoża, cudniejsza chyba od bajek wschodnich, jakie królowi tyryjscy kuglarze w czasie wytchnień opowiadali. Srebrzony muślin jej szaty niezdołen był zataić nagości, która przeświecała pokusą swych wdzięków, jak płomień przez lekką osłonę. Śnać świadoma była córą Oxyartesa potęgi piękności, bo, śmiało podszedłszy do Macedończyka i wyciągnawszy dłoń, ozwała niedbale:

— Złóż pocałunek i czuj się winnym. Lepiej ci zawrzeć przymierze z tą, której nie oparł się dotąd nikt... choćby był Aleksandrem.

Wielki zdobywca zmieszał się ponownie. Stawiano przed nim wielokrotnie więcej znaczących, niż baktryjska piękność ludzi i zawsze był wyniosłym panem. Teraz... poczuł jakąś niezdarność żołnierską, wobec tej śmiałej kobiety.

Chciał jej wprawdzie również powiedzieć, że i jemu nie oprze się żadna... choćby była Roxana, ale, wołąc ukryć nie wiadomo czemu zakwitły rumieniec, przyjął podaną rękę i zamilkł w długim pocałunku.

Roxana cofnęła lekko dłoń i zaśmiała się sennie.

— Całujesz źle i niewprawnie. Kochanki twoje musiały doić krowy, lub strzydz owce, skoro nie nauczyły cię sztuki miłości. Jesteś, jak dziecko, które pierwszy raz dobrało się do słodyczy.

Poczem, odsłoniwszy szatę, mówiła dalej:

— Z piersi mojej mógłbyś wziąć wzór do czary i piłyś z niej codziennie wino ziemi baktryjskiej. Ale ty wolisz rzucać oszczepem, niż hołdować rozkoszy. Przyznaj Aleksandrze, że nigdy dotąd żadna kobieta nie wzięła w posiadanie twego uczucia.

— Tak...— rzekł Macedończyk.— Na miłość trzeba czasu, a ja w paru latach zdobyłem pół globu..

— A czy zdobyłeś jakieś serce? Serce, to czasem więcej, niż nowa prowincja.

— Mówił mi kiedyś Parmenion, że kocha mnie kapłanka Ereкта z Miletu. Innym razem młode tyryjki wprzęgły się do wozu mego, który ukwieciły bluszczem. Lecz... jam śmiał się... bo wolę pięty uciekającego wroga, niż ramiona goniącej kobiety...

— Ale usta Aleksandra są moje... — i przy tych słowach piękna baktryjka zawisła u szyi Macedończyka.

Trwali tak, aż piersiom zbrakło oddechów.

— O Roxano... — szeptał namiętnie król — ja nie wiem, co ze mną. O najcudniejsza, przy tobie zgasną wszystkie boginie olimpijskie i wszystkie niebianki Parnasu. Czemu całujesz tak, że wszystko zapada się we mnie? Zali wiesz, żem brał kobietę, jak przedmiot, a nie całował nigdy...

— Gryziesz wargi moje i mało w tem smakowania, a więcej niecierpliwości... Wszelaką słodycz należy pić powoli... Gdy zbyt szybko wychylisz puhar upojenia, na dnie zostanie tylko przesyty. Ty zaczynałeś od przesyty... Rozkosz winna być, jak nieśmiertelność, która wypływa z Amertateta i nie należy palić świę-

tego ognia tylko Aszawahiście „prawu natury“.

— Roxano... Jam zdobywał miasta i tratowałem wrogów. Nie znałem kwiecistej łożnicy, a podkładano mi hełm pod głowę, gdym zasypiał... Czyż boski Achilles, włócząc Hektora za swoim wozem, myślał o falujących biodrach Trojanek?... Ares spadał gromem na przeciwnika i Afrodyte przebaczyła mu twarde brzuszca palców...

— Wonne olejki z Taxili zmiękczą skórę twoją i nadadzą jej połysk ekbatańskiej majoliki. Rozwiążesz rzemienie pod pancerzem i te żelazne buty, które rysują przy każdym kroku polor mozaiek. Tobie chodzić w tyarze z pereł i w purpurowych pachnących szatach. Zali wszyscy mężowie Pelli wydają zapach konia i mają spękane paznokcie?...

Aleksander spojrział po sobie i poczerwieniał. Wyglądał istotnie, jak ostatni żołdak macedoński, w zmatowiałym hełmie i rdzawym pancerzu. Jego nagie ręce posiekały srogie wichry baktryjskie, a twarz miała chropawą, ostrą cerę. Tylko od tej twarzy wiała jakaś młoda

potęga i pięknym był wielki zdobywca bez pereł i purpury.

— Jestem tylko pierwszym żołnierzem wojsk moich—rzekł dumnie—a Darjusz, gdy uciekał przedemną, znaczył rozsypnymi djamentami drogę pogoni.. Mnie kołysały szumy lasów Illiryi i Tracyi, zaś Persa szmer pawich wachlarzów...

— Ten płaszcz, usiany łzami pereł, moje haftowały ręce. Przywdziej go Aleksandrze... Oto pas, przedzierzgnięty złotem i niemi z Zarjaspy, jak cudnie lśni, gdy nim trzykrotnie biodra opaszysz... Władcą jesteś całej Azji i odtąd tylko na kolanach będzie wolno mówić do ciebie...

— Radzisz więc zaprowadzić „proskynezis“? ¹⁾ Podobasz mi się piękna dziewczyno, przekształcająca Hellena na Azjatę... Ale bogdajby wszystkie Baktryjki miały takie oczy i takie rozkwitłe usta... Czemu tedy sama nie uklęknieś przedemną, jako przed następcą Darjuszów?... Cyrus pewnie teraz wali nogami w grobowiec i chętnie uciekłby z niego, bo mu wstyd za zniewieściałość Kodomannosa...

¹⁾ Padanie na ziemię przed królem.

Roxana zawisła na ustach Aleksandra i szeptała gorącemi słowy:

— Wszyscy będą z ziemi mówić do ciebie, a ja jedna u nóg mych cię zawsze zobaczę... Nie obejmuj tak gwałtownie talji, bo zamiera oddech we mnie. Jam hodowany, rzadki kwiat, a ty, jak ujeżdżacz Bucyfała... Musisz zbyć się obozowej zapalczywości i grubjańskich oświadczyn kopijnika... Jeżeli wasz bożek Dionyzos miał takie chropowate mięśnie, to biedne musiały być cudzołożnice Olimpu...

Odsunęła się od niego, bo rozerwany turkusowy naszyjnik ronił już błękitne łzy po posadzce.

— Patrz, rozsypały się niebieskie kamienie, które deptać będziesz żelaznym butem, jak umarłe oczy twych wrogów...

— Wódz mój, Hefaistion, ponoć uwielbia młodszą córkę Darjusza, chodzącą w szatach z płatków hyacentowych, a marzą mu się jej nagie plecy, by mógł na nich różgą wolę swą wypisywać. Czy wiesz, co mi powiedział Harpalos, gdym mu się zwierzył z żądź ku Parizatis?... „Królu, pewnie namaszczone ramiona tej ulubienicy Ochosa będą się brzydzić

grubych tkanin macedońskich. Ale naucz ją, o panie, trefić miękko włosy, to łacniej zamiecie ziemię przed twym żelaznym butem“.

I słowa te wypowiedziawszy Aleksander porwał na ręce Roxanę, a później wpił dziko usta w jej rozchylone wargi, zaczem, z roznamiętnioną twarzą, uniósł ją w głąb świetlicy, gdy żołnierze jego poczęli zalewać wodą siedm płonących ogni Ameszaspenty.

.....

Nad ranem zeszedł Aleksander do swych wojsk i, wzięwszy na bok Kleitosa, mówił mu dziwnym głosem:

— Wiesz... Nie poznaje siebie... Rozkochałem się w Roxanie... Po raz pierwszy usłyszałem głos serca... Pomyśl sam stary druhu, zjechało się tyle świata, całą Persję, Egipt, aż tu, w zapadłym kącie baktryjskim... Wola bogów chyba... Boski Pellida wszakże nie odtrącał miłości cór Ilionu, a Odysseja, czyż nie uwiodła Kalipso?... Rozkochałem się, jak ostatni, głupi ciura obozowy i więcej ci powiem... Cudzoziemka wyszydziła moją raptowność i moje żołnierskie karesy... Jeżeli Ares, to jej ciało także z piany

morskiej uczynione i lękam się, czym nie pozostawił sińców na białych ramionach tej „róży wschodu“... Ja ją zaślubię Kleitosie...

Odszedł zadumany król, a Kleitos, który go kochał gorąco i cenił nad wszystkich bohaterów świata, uśmiechnął się tylko w duszy, boć łatwiej było widać stracić tyarę z czoła Darjusza, niż przypodobać się kapryśnej jedynaczce Oxyartesowej...

— Wspaniały wódz i rozkoszny pieszczoł w świetlicy, to rzeczy zgoła odmienne — myślał stary wojak macedoński. — Bacz Aleksandrze, by ci któryś zręczny greczyn nie uwiódł Roxany, jako że upaja ją miękki głos i wyszukana, i przemyślna pieszczota. I bodajbyś wielki zdobywco nie zarzucił pancerza, ustępując go wonnej, medyjskiej szacie, bo ciężko by nam, twym towarzyszom, było padać na kolana i modlić się do twego perkiego pasa.

Nie przewidywał Kleitos, że w rozmyślanii jego czało się okropne prorocstwo.

TYBERJUSZ.

„**K**aprejski Koziół“, tak go zowią, choć w oczy mówią mu: „Nieśmiertelny i boski Panie“... Wsparły o skałę, — jeden z tych fantastycznych kamieniołomów swej wyspy, patrzy w jaśniejącą dal. Oto jest bajka słoneczno-morska... Strop niebieski, jak olbrzymi kosztowny turkus, rozwiesza się nad niemniej cennym turkusem, czy szmaragdem wód. Słońce stoi wysoko, złote i djamentowe; rozsiana legenda oślepiających jego lśnień, łowi nieczęste żagle, znaczące się po bezkresnej toni, by kwitły, do najbielszych listków jaśminu podobne. Zewsząd czai się upał. Kaprea wygrzewa się, dysząc żarem i wonią upajających roślin.

Tyberjusz, owinięty w ciemną togę, przypomina posąg brązowy, niby jeden więcej wśród tych dziwnych arcydzieł, któremi ozdobił sobie pustelnię. Twarz ma sino-miedzianą, a dzięki słońca refleksom, — ogniową. Rysy ścięte bezruchem, stężałe, wyraziste i mocne, gdy

chodzi o złowrogi profil, znaczą się twar-
dym konturem. Straszny jest samotnik
monarszy. Ma w sobie coś z upiora i coś
z demona. Nieruchome jego półprzy-
mknięte oczy patrzą teraz w dal tym
przeokropniejsze, że magnetyczne. Cera
zorana fioletem brózd głębokich, owrzo-
dzona, ociekła ropą cuchnącą, zdradza
zgniłość. Trąd żłobi ciało i otwiera
rany...

...Promieniste, radosne południe. Morze
szumi cichą muzyką szafirowo-zielonych
fal, gdzieniegdzie rozpęknięte w perły
piany srebrzystej. Całują one brzegi
skał wilgotnemi usty. Powietrze oddy-
cha morzem i opala się słońcem. Gama
kolorów pieści się sobą harmonijna, ła-
godna, blasku pełna. Czasem tylko zefir
niewidzialny zaszumi nad cyprysu głową
i przyniesie ów Amfitryty chorał cudny,
głęboki ton tajemniczej pieśni syren.

Tyberjusz nieruchomy stoi.. Pustka
w koło. Cezar nie lubi oczu ciekawych.
Podejrzliwy jest i skryty. Kazał posta-
wić posąg Samotności u wyniosłego brze-
gu, lecz przyszła burza i zabrała mar-
mur. Został tylko piedestał, usypany
muszli pryzmatem.

Tyberjusz unika tłumu. Męczą go ludzie.

Teraz zapatrzony w cud skwarne go południa, milczący i ogromny, wsparty o kamieniołom, robi wrażenie posągu Grozy.

Mała dziewczynka wybiega... Złotowłosa, zarumieniona... Córka rybaka, jakich tysiące łowi szkarłatne ryby, by pasła się zgraja Cezara.

Mała dziewczynka wybiega... Nie widzi ponurego władcy, więc w lekkich podskokach, za blaskiem muszelek goni, że leżą tak wśród piaszczystego srebra. Zbiera je do koszyka z morskich traw... Jest świeża, śliczna... Oczy, bardziej od niebiosów turkusowe i od wód głębokie, śmieją się do słońca.

Drży Tyberjusz. Dotąd prawie znieczulony, prawie martwy i gładowy, twarz ku dziecku obraca. Stalowe jego źrenice śledzą... Ogarniają wiotkie kształty złotowłosej, ledwo kryjące się pod przejrzystej tuniki tajemnicą. Ogarniają wiosnianego ciała przepych, złotawy w promieniach.

Dziewczynka muszle zbiera. Już nie-

mal pół koszyka tęczę ich błyska. Coraz pochylona nad morza klejnotami, nuci coś wesoło, wesoło... Wiatr, lubieżny upałem, kędziory połyskliwe rozplata, pod gazą nagości szukając. Czasem zakręci tuniką i do toczonych ud ciepłymi wargami przypadnie.

Tyberjusz patrzy niedostrzeżony. Jak brązowy posąg. Tylko rysy jego straszny uśmiech rozpręża. Tylko źrenice palą się dziwnie...

Przerażające źrenice. Samo wspomnienie owych lodowatych błyskawic zabija. Złowrogie i chłodne,—spokojne, przenikliwe, a zarazem umarłe. Okropne źrenice Cezara.

I nagle... zapala się w nich żądza. Potworna radość rozkoszy...

Tyberjusz wychodzi zśród skał ukrycia. Starzec gnijący, toczony zarazy jadem, ohydny, żywy trup. Spowity w mrok ciemnego płaszcza, jeno purpurową opaską na głowie zdobny,—upiór kaprejski.

Dostrzegą go dziewczynka — córka rybaka. Trwoga znieruchamia turkusy oczów, dotąd beztrosnego dziecka. Sypie się muszli deszcz stubarwny, gdy drżąca ręka koszyka utrzymać nie może.

— Panie... Panie...

Tyberjusz staje nad nią, klęczącą już w prochu ziemi. Zwierżęce pragnienie, zwyrodniała chuć krwawego degenerata bucha... Nikczemność wyrafinowania.

Wszelako „Kozioł Kaprejski“ hamuje się. Podnosi z kolan powaloną łękiem, niby dobry pasterz owcę bojaźliwą. Głos ochrypły, kraczący pyta, jakgdyby łagodnie.

— Kto jesteś maleńka?...

Gdy zaś dziewczynka milczy oniemiała, spazmu blizka, dodaje cicho:

— Muszle zbierasz...

Poczem chwyta ją nagle w pól i nie zważając na opór, na płacz wystraszonej, przyciska do tych niewinnych, przed chwilą rozśmianych ust, sinawe, dyszące wargi i unosi gdzieś, między kamieniołomy skaliste, kędy oplotła winogradem grotą, bezdennym oczodołem przygląda się spokojnemu morzu.

A ono szumi cichą muzyką szafirowozielonych fal..., oczekując chwili, aż operli srebrem piany nagie zwłoki jakiegoś nieznanego dziecka, z okropną, bezwstydną raną, która przyciągnie krwi żadne ryby szkarłatne, nakarmi je i utuczy, by pasła się zgraja Cezara.

KALIGULA.

Kaligula opiera się o bazaltową kolumnę. Słońce zachodzi czerwono i złoto. Milczące cyprysy ciemnieją w świetlistej powodzi, jak duchy olbrzymów. Kajus mówi:

— Jakże potężny jestem i wielki!!! Pyszniejszy od Aleksandra, mędrszy od Cezara. Nie znają krańca skrzydlate me rozkazy i wola moja jest nieznaną, nieogarniętą myślą jest, żyjący na ustach rabów, gdy w obłądnej trwodze modlą się do bogów domowych. Czemu nie modlą się do mnie? Tam słońce gaśnie, ogromne, złociste słońce i chyli się ku ziemi, jakgdyby chciało zejść z nieba i mnie bić pokłony. A ja, stoję mocarny w djademie chwały ja—bóg, nowożytny Jowisz i drwię sobie z ciebie—słońce— i śmieję się prosto w ogniowe lice — — słońce — —

Okrywa się purpurową togą, wyszytą w srebrne gryfy. Zaciśnięte usta, jak cięcie miecza, krwawią się na bladej masce.

— Czemu niema koło mnie straży? Gdzie tancerki moje i śpiewaczki? Ha, albo raczej precz z niemi!!! Zbrzydły mi półdzieciące biodra andaluzek, zbrzydły wschodnie hetery, z piersiami w żółwich skorupach. Nie chcę płasów bachicznych, nie chcę wina, nie chcę kości. Wczoraj dwieście nałożnic rzuciłem na pożarcie tygrysom. Widziałem olbrzymie azjatyckie potwory, gdy kurcząc w okropnych skokach pręgowate grzbieity, szarpały różane ciała. Kochanki moje umierały nagie, zupełnie nagie, takie, do jakich przywykłem. A później, gdy zwierzęta zziajane, nażarte, o wydętych brzuchach, pokładły się obok trupów, gdy tuliły skrwawione paszcze do białych, jak marmur, żyjących jeszcze ofiar i w sybaryckim półśnie zmęczenia zwierzały się ze smaku współskazanek, żałując, że są już syte, zdjęła mnie pusta wesołość i „niedojedzone“ zalotnice poprosiłem na ucztę.

Śmieje się glucho, bezdźwięcznie.

— Ha i czemu ja żyję? Czemu w winnicach złocą się grona, by napelnić faler-nem moje amfory? Czemu zbudowałem cyrk, większy od niejednego miasta,

w którym śmiertelnie znużony, zasypiam na walkach gladjatorów? Czemu stawiają mi świątynie i posągi, duszą oparem kadzideł i zwyciężkim wawrzynem czoło zdobią w gonitwach? Czy to wszystko wypełni mi życie? Czy wśród orgji codziennych i biesiad, wśród nagich ciał i kwiatów, znajdę jeszcze coś nowego?...

Osuwa się na alabastrową ławę, wykładaną zamorskim perłowcem. Upierścienione dłonie nurza w kępach irysów i patrzy sennie.

— A może jakiś nowy szal? Może rozpiąć na krzyżu gołego arcykapłana, z którym poigrają moje tancerki? Może struć Senat i ubrać w białe togi hetery płatne? Nie, nie... Wszystko tak nudne, tak bezbarwne. Jam czynił przecie wszystko, co tylko myśl wszechwładna zdolna jest podszeptać. Zatrząsał się tron Jowisza pod gradem mych pocisków; Incitatus¹⁾ został konsulem. Przerzuciłem przez zatokę w Baji czteromilowy most i strącałem kopytami końskimi ludzi do morza, jak Kserkses. Własne siostry upajały mnie złocistą baśnią swych ciał. A teraz

¹⁾ Ulubiony rumak Kaliguli.

przyszła chwila, że chce mi się zawołać: „Ludzkości!!! podła, robaczywa ciżbo, czemu nie masz jednej głowy, abym jednym miecza zamachem mógł ją strącić z twego karku?“...

Chwiejnym krokiem schodzi po kamiennych stopniach. Przed nim roztwiera się głębia palatyńskich ogrodów, upajających wonią i tajemnym cieniem. Słońce gaśnie i liljowy zmierzch zwolna otula ziemię. Woda w cysternach nabiera ametystowej barwy. Drzewa stoją nieruchome i modlą się do zachodu.

Nagle Cezar zatrzymuje się. Biała jakas postać, by widmo, majaczy na tle ciemnego szmaragdu sadów.

— Ktoś ty?...

A ona schyla mu się do nóg.

— Wysłuchaj mnie Panie, błagam! Każ później zabić niewolnikom, ale wysłuchaj. Kocham ciebie... i ogromna, bezgraniczna miłość gnała mnie przed twoje stopy. Przyszłam, by oddychać tem samym, co i ty powietrzem, by całować twe ślady na wilgotnym piasku. I oto widzę cię... Mojego Cezara... Kochanka marzeń złocistych widzę...

Kaligula stoi oniemiały. W źrenicach

maluje mu się niedowierzanie. Tego nigdy od poddanej nie słyszał znieawidzony Cezar.

Prawie z trwogą pyta:

— Kochasz mnie?...

*A jej głos zaszemrał, jak forminga hel-
leńska:*

— Czy ja cię kocham? Nikt nie zna tych nocy bezsennych, tych westchnień, tych skarg. I nie wie, czemu turkusy umierają na mojem łonie, a lilje więdną... Moje biedne lilje. Stroiłam niemi włosów złotą przędzę, jak Nimfa, która troski nie zna... I było mi dobrze samej wśród tego szczęścia. A dziś?

— Kocham cię... ty władny i straszliwy. Kocham upiora twojej grozy. Jam dziewica, słyszysz! — porzuciłam niezmazane łoże—domostwo ojców mych,—rodzinny próg. Weź mnie... Kochanku... Tobiem się ofiarowała. Tobie przynoszę ciało moje i serce, co jak kwiat czerwony w skwarze męki usycha.

Kaligula milczy. Przeklinany tyran nie słyszał nigdy zaklęć tak upojnych.

— Kocham cię za to, żeś pyszny, że lupisz świątynie i krew rozlewasz. Za to, że depcesz karki senatorów i wprzę-

gasz do rydwanu twego matrony rzymskie. Kocham cię... za obłąkaną twą moc, okrutną, lecz niebosięźną, morderczą, lecz jasną, jak słońce.

A wtedy on podnosi ją z kolan i objawszy mocno ramieniem szepce:

— Chodź ze mną.

Idą wzdłuż alej cyprysowych. Księżyc kryje się w obłocznej mgle. Nawet wodotryski milkną na chłodnych piersiach cystern.

W ustroniu, wśród drzew, majaczy ciemna altana. Skręty winogrodu splatają się lubieżnie. W głębi ich giną dwie postacie.

.

Poranek... Słońce... lecz nie tak krwawe, jak o zachodzie. Różany wóz Apollina nie przejechał jeszcze po za Kapitol. Drżące jego promienie przekradają się przez splety winogrodu i złocistymi plamy wyścielają szmaragdową głębię altany.

Pierwszy, ze słodkiej niemocy budzi się Kaligula. Mówi leniwie:

— Dałaś mi szczęście. Bezmiar zapomnienia i pieśczoć. Słyszysz, piękna! Wszystko dziś dla ciebie: złoto, wino,

krw. Pokaż mi twoje oczy... o tak...
Opleć ramionami szyję i całuj... jeszcze...

Uśmiecha się.

— Niewinność twą wziąłem—purpuro-
wy kwiat czystości. Jesteś moja — Cezara
rzymskiego kochanką. Nie możesz
żyć, jak dotąd. Stuletniem winem wypić
nam zdrowie tej nocy. Nocy bezsennej,
co jak sen olimpijski minęła.

*Bez rozkazu, niby opiekuńcze duchy,
zjawiają się czarni niewolnicy i wnoszą
do altany cedrowy stół. Wśród pąków
irysów i asfodeli, różnokolorowa kruża ze
szkła aleksandryjskiego pieni się cennym
nektarem.*

— Za naszą miłość!!! Za zdrowie tve-
go Cezara!!!

*Ona podnosi wino do ust i muska lek-
ko koralem warg brzeg kosztownego na-
czynia. Potem przechyla głowę, aż złota
burza jej rozsypanych włosów muska
ukwieconą ziemię — wypija w połowie
i nagle... bez jęku stacza się do stóp Ka-
liguli.*

*Cezar patrzy na nią z dzikim zachwy-
tem, a w rozszerzonych, półobłądnych źre-
nicach, żarzy mu się glód niekosztowa-*

*nych wrażeń. Poczem wstaje z ławy, dotyka czerwoną koturną jej czoła i zawiązawszy się w purpurową togę, obojętny już i spokojny oddala się wolnym krokiem, rad w głębi duszy z nieznaną do-
tąd uciechy.*

MESSALINA.

S poczywa na ukwieconem łożu, wśród
bezcennych tkanin. Cubiculum otula
złotawy mrok, w głębi tylko ślizgają
się płomienie trójnoga, rozświetlając mo-
zajki sennym szkarlatem.

Przegina się leniwie :

— Nie mogę zasnąć... Coś mnie zry-
wa, unosi i gna, gdzieś daleko... Kaza-
łam iść precz harfiarzom, a później sma-
gać niewolnicę, by kołysała mnie ję-
kiem. Lecz wszystko daremno... Sen od-
leciał. Ach, te noce!!! czarne, jak roz-
pacz, posępne, jak państwo grobowców.
Takie bezmiernie smutne noce... Nic
w nich, prócz łopotu kruczych skrzyd-
lisk, gdy tułam mnie do łon wystygłych. Prze-
klinam je, — cmentarne kapłanki ciszy...
przeklinam!!!

*Zaciska pięści i szarpie zębami jedwab-
ne poduszki.*

— A więc jestem sama, znów sama, jak
płacząca wygnanka. Harfy pomarły, loto-
sy zwiesiły głowy i upajają się własną
wonnością. Biały posąg Izydy milczy,

zapatrzony w legendę gwiazd. Ogromna, lodowata noc... mrozi czucie, lecz zabija sen. Wspieram cudną, złotą głowę o alabaster kolumny i z rozwartemi oczyma marzę... Przejrzysta stola faluje na piersiach, do nóg ściekają rubinowe łańcuchy, jak ciche krople krwi. Wśród malachitowych filarów błądzi tęsknota, smutniejsza odemnie. Żrenice ma przyślonięte opaską, gdy zbliża się do posągu Erosa. Niewiadoma, bezimienna Tęsknota, samobiczująca, tragiczna i słodka, jak Rozkosz, jak Upojenie.

Mocarną panią Romy jestem... ja — Messalina. Najpiękniejszą na ziemi, o kształtach, do wizji Praksitelesa podobnych. Usta mam przesłodkie, obiecujące nieskończoność ambrozyjskich, morderczych całunków. Wszechwładną małżonką Cezara ogląda mnie czołobitna stolica i niewolniczy, kornie w łęk zgięty, świat, Romie podległy. Niosą mi daniny kraje rozmaite, ziemie wszalackie i ludy mnogie. Tęcze marmurów, świeczniki z kości słoniowej, wschódnie kobierce, arabskie kadzidla, złoto i bursztyny kładą u mych nóg. Lwy płowogrzywe szarpią się w kawalce—ku ucie-

sze mojej, tysiące gladiatorów umiera na krwawych piaskach aren — ku moim zmysłom. Jestem przy boku małżonka-Cezara wyniosła i okrutna, dumna, jak wcielenie tyrańskiej Pychy, jestem wolą i rozkazem, obalającym porządki istnień i praw odwiecznych. Nienawidzę Klau-djusza, jedynego zwierzchnika mego, nienawidzę go całym jadem, kobiecej, mściwej, natury, całą burzą demonicznego temperamentu, całą zadumą czarnego sumienia. Modlę się do Hekate i Furji, by tego pana i męża mego uniosły z ziemi na swych skrzydłach złowrogich. Żądna jestem władzy jedynej i niepodzielnej, potrzykroć kapryśniejszej, niż samowola Semiramidy, żądna jestem... ja — Messalina.

Stoi królewsko-nieubłagana, z zagadkowym uśmiechem na purpurowych war-gach.

— Kochanków mam tylu, ilu pięknych posiada stolica moja. Kochanków mam wśród patrycjuszów i niewolników białych. Kochanków mam legion, którzy uwielbiają mnie, którzy są cieniem i echem mojem, którzy pragną, jak nikt nikogo nie pragnął, którzy giną dla mnie.

Kochanków mam młodych, silnych i gibkich, nienasyconych i wiecznie spragnionych pieścot... Kochanką jestem tysięcy, nikogo nigdy nie kochająca... ja—Messalina.

Omdlewajacem spojrzeniem wybiega w przestrzeń gwiazdzistą, czerniącą się roziskrzonym kirem, gdzieś tam, wśród alabastrowych kolumn.

— Przekleństwo na tę noc grobową!!! Tak tu cicho, zda się w państwie Prozerpiny. Śpi Roma i śpi pałacowy zgiełk, z rozkazu mego. Tylko jam — bezsenna. Klaudjusz, wyczerpany orgją z aleksandryjskimi tancerkami, też pewnie łoże zalega. Spokój wszędzie, milczący kamienny spokój... Dość mi tego!!!

— Chcę szaleć, chcę uciech i bólu, chcę nieznanych upojeń i pieścot krwiożerczych. Właśnie teraz, w tę noc, gdy cisza wszędzie. Niech się stanie coś, czego jeszcze nie zaznałam. Niech się spełni jakaś okropna tortura zmysłów, jakaś beznadziejna męka rozkoszy. Ja, Messalina, tak chcę... ja pragnę!!!

Chwilę stoi w bezruchu, łowiąc myślami wątek lubieżnych, nocnych zachcianek. Potem, klaszcze w dłonie i z za kotary wybiegają niewolnicy.

— Hej, słudzy!!! Zapalcie światła i kwiaty mi nieście!!! Róże, fijołki i narcyzy zakochane w sobie!!! Niech dym kadzi-deł wypełni sypialnię!!! Niech będzie jasno i radośnie!!!

— Niewolnicy moi!!! Przywieźdźcie mi tego olbrzyma, którego porwać wczoraj zleciłam. W kajdanach, tym mocniej spętany, niech jawi się przedemną. Czynić, co każę, lub śmierć was pod różgami czeka!!!

Czarni rzezańcy nikną błyskawicznie. Messalina stoi z płomieniem w źrenicach, podniecona rozkazem, cudna i rozśmiana. Podczas tego, pacholeta greckie zapalają lampy oliwne, przysłaniając je różnobarwnymi kloszami. Smukłe syryjki, do wschodnich bogiń podobne, sypią płatki upajających wonią, kwiatów. Sypialnia Cesarzowej zmienia się w jakiś czarno-księski klomb, pełen kosztownych roślin, mieniących się tęczowo, jak kalejdoskop zbudzonej wiosny.

Drży amarantowa kotara. Kilkunastu strojnych w tygrysie skóry niewolników wprowadza Numida. Nagi jest, okryty tylko... kajdanami. Ciężkie, żelazne okowy kłępują jego potężne mięśnie, złowroga

obręcz zaciska się wkrąg szyi zdlawionej. Pałacowi siepacze otaczają go czarnym, żywym łańcuchem, lecz on przerasta ich o głowę i patrzy spokojnie prosto w oczy Messalinie.

— Przykujcie go do kolumny, lecz tak, by drgnąć nie zdołał. Mocno tytko!!! czy słyszycie?... On silniejszy od Herkulesa.

Messalina przypatruje się scenie tej w milczeniu, obojętna pozornie. Gdy wszystko jest już ukończone, rzaca krótko:

— Zostawcie mnie!!!

Pokornie, jak bite czworonogi, bezszelstnie kryją się wytresowani niewolnicy. Greckie pacholeta i smukłe syryjki nikną, jak zjawiska. Zostaje tylko on—przykutym do filara i ona — wyniosła i nieprawdopodobnie piękna.

Długo patrzą na siebie w milczeniu; gladiator nieruchomy z okrutnej konieczności, Messalina nieruchoma z zaciękwienia i mimowolnego podziwu.

— Kazałam cię przywieźć tutaj, bo mi nudno samej w nocy. Chcę się bawić twym widokiem. Śmieszne jest, bowiem, widzieć Tytana na łasce i niełasce słabej kobiety.

Mówi to z niedbałą ironją, wachlując się od niechcenia pękiem pawich piór, oprawnych w kosztowny perłowiec. Zdaje się, że rozkapryszona Cesarzowa umyślnie pragnie podniecić silacza do zerwania łańcuchów, wiedząc o próżnym jego wysiłku.

— Ha, ha... Żle jest w żelaznych uściskach, przytulonemu do zimnej kolumny. I to ty, zwycięzca w tysiącach zapasów, kochanek tłumów, Mistrz gladjatorów... Ot patrz... Wola moja obezwładniła twą moc cyklopią — niewolniku. Kazałam cię skrępować, pozwoliłeś się, nie zabijając rzezańców moich, uderzeniem pięści olbrzymich. Gdy cię osadzono wczoraj, w podziemiach cyrkowych, dałeś się uprowadzić, jak dziecko. Czemu to?... Zbrakło ci siły, by przeciwzić się rozkazom moim. I nie śmiałeś pytać, czemu cię raczę łaskawie uwięzić. Nieustraszony zapaśniku... zadrżałeś przed Messaliną, bo wiesz, co czeka tych, którzy się jej przeciwzić ośmielą. Nieustraszony zapaśniku... Ha, ha...

Śmieje się i rzuca mu wachlarz prosto w twarz.

— Ha, ha... I gdzie jest ta twoja

zręczność błyskawiczna? Gdzie jest ta twoja nieustraszona przemoc. Cóż z tego, że pokonałeś jednocześnie dwa lwy afrykańskie? Cóż z tego, że jesteś faworytem i przyjacielem patrycjuszów? Cóż z tego, że sam Cezar obsypywał cię kosztownymi podarkami, a Narcyz pozwalał zasiadać do uczyty z sobą. Rozgniewałeś Cezara, zabijając Heronisa, za którym Klaudjusz trzymał 100,000 sesterców. Chcąc zrobić przyjemność małżonkowi, wzięłam cię na łańcuch, by się pobawić tobą, a później podarować którejś z moich niewolnic, jako zdrowego kochanka.

— No cóż?... Milczysz... Cesarzowa z tobą mówić raczy. Więcej ci powiem nawet. Podobasz mi się w tych łańcuchach. Masz piękne oczy i włosy, jak noc. Muskuly twoje przypominają mi bary kolosa. Będę cię trzymała u siebie dni kilka, póki mi się nie znudzisz. Położę się na skórze czarnej pantery, bez szat, bez osłon... naga, pożądana przez świat cały. Poznasz bogactwo ciała mego—niewolniku. I będą cię palić żądze, straszne, mordercze, do obłędu doprowadzające, będą miotały się zmysły twoje,

lecz je kajdany poskromią. Ujrzysz najcudniejsze kształty, a nie dotkniesz ich ręką bezbożną... Ha, ha... Łańcuchy są mocne, zdzierzą śmieszne wysiłki Mi-strza gladjatorów.

Patrzy nań szyderczo, z dumnym uśmiechem. Ma w sobie jakiś drażniący urok, jakąś magnetyczną siłę niebywalej krasy. Owinięta w lekką, purpurową stolę, przez którą przebłyska jej boskie ciało, staje się podobną do mściwej Kiprydy, rozigranej wyrafinowanem okrucieństwem.

— Zabawką moją jesteś, ty, Tezeuszu arenowy. Gdy kaprys mi się zrodzi, każę cię smagać, byś zemdlał. Pragnę widzieć niemoc twoją i ataki bezsilnej wściekłości. Patrz, co czynię... Oto zdejmuję przezrzystą szatę i naramienniki z łuski złotej. Rozpuszczam włosy jedwabiste, sandały, perłami szyte, zdziwam. Czyś widział kiedy taki przepych ramion? Czyś widział taką wiotkość bioder olimpijskich? Czyś widział tak niebiańskie kontury pachnącego ciała, do którego modli się Cezar i ludzkość?... Niewolniku!!! Łaska i nieprawdopodobne zaszczyty spływają na ciebie, w godzinę

Cudu. W godzinę swywoli mojej, obalającej wszystko i wszystkich.

Staje przed nim rozsmiana, zupełnie naga, stokroć piękniejsza, niż legendy o uroku Heleny, niż przysłowiowy czar Frine lub Calipso. Rozpręża piersi wzbране, wolne od rubinowej opaski, podniecająca, jak Hymn Bezwstydu. Zbliża się do skajdanionego olbrzyma, bogata niewiadomą obietnicą upojeń, czy tortury, gdy nagle... czyni się rzecz straszna, nieprawdopodobna niemal.

Gładjator spokojny i pozornie obojętny dotąd zrywa się błyskawicznie, zda się, żywym przypieczony ogniem. Potężne muskuły, nateżone tytanicznym wysiłkiem, wzbierają do fenomenalnych rozmiarów. Jęczą ciężkie okowy, pod strasznym naporem obudzonej wściekłości. Szalone zmaganie się z żelazem trwa chwilę... Kruszą się łańcuchy, rozsadzane druzgocącą siłą... kruszą się, pryskając ogniw deszczem. Drży marmurowy filar; więzień zbiera resztki mocy, zwija się w łęk, przegina i nateża... ostatnie ogniwo pęka, i oto... olbrzym odskakuje od kolumny, jak wyswobodzony tygrys, wolny, zwycięzki, prze-rażający...

— Chciałaś naigrawać się nademną!!!
 Chciałaś mnie widzieć na łasce i niełasce... Pozwoliłem się uwięzić tylko dlatego, by ci móc spojrzeć później prosto w oczy, tak, jak teraz. Bezpieczny byłem, gdy mnie murzyni twoi napadli, a do łask Cezara powrócę, gdy zechcę. Bezpieczny jestem w tej chwili tymbar-dziej, boś ty, Pani świata, w mojej mocy.

Podchodzi do niej wolno... i jest coś strasz-nego w tym jego spokoju. Żrenice palą mu się niesamowitym ogniem, rozdr-gane walką mięskuly rąk kurczą się drapieźnie i złowrogo. Messalina patrzy nań, skamie-niała zda się, w jakiś tragiczny posąg Bezruchu, obłąkaną trwogą, jak pod za-klęciem lodowej hypnozy, blada, do Prze-rażenia podobna.

Lecz oto, po chwili, twarz Messaliny wyprzycamnia się z przeraźliwego osłupie-nia. Przywalający kamień lęku spada z jej serca. Nie wzywa murzynów, nie kryje nagości, w słoneczną tuniki purpurę. Roz-ciekawionemi oczyma przygląda się kształ-tom Numida, pieszcząc się ich posągowym hebanem. Czuje gorący oddech siłacza na swej twarzy i ogarnia ją jakiś słodki bez-wład. A później czuje ramiona, opasujące

jej kibić obnażoną, czuje płomień całunku na ustach rozchylonych, nie broni się, nie odpycha, chwila jeszcze i jakaś nieprawdopodobna rozkosz, zapamiętała, dzika, rozprężająca bioder alabastrowych najkosztowniejszą tajemnicę.

.

.

I gdy nadeszły letnie igrzyska, urządzone z rozkazu Cezara, Numid — mistrz gladiatorów walczył na krwawym piasku i kiedyś, przycisnąwszy zębami widel szyję przeciwnika wsparł się na nich, a jego tryumfalny dziki uśmiech pobiegł przez pustkę areny, aż tam, ku złotemu podjum, gdzie siedziała w purpurze Messalina... — uśmiech zwycięzki...



INSTYTUT
 BADAN HISTORYCZNYCH PAN

Biblioteka
 ul. Nowy Świat Nr 72
 00-370 Warszawa

<http://icj.org.pl> w. 42

F

1605